Nr. 34. Poznań, Niedziela, dnia 24-go Sierpnia 1902 r. Rok VI

PRACA
Tygodnik illustrowany

I[illegible] Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Nienasycona żądza.

Im więcej przywilejów i darów sypie się na niemczyznę w dzielnicach polskich, tym gwałtowniej wzmaga się jej łakomstwo. Jak wiadomo, urzędnicy w stronach naszych, szczególnie zaś nauczyciele otrzymują wyjątkowe gratyfikacye za zasługi oddawane sprawie giermanizacyjnej. Wiadomo też, że rząd „ze względu na wyjątkowe trudności" zamyśla ustanowić dla urzędników na wschodzie rozmaitej kategoryi specyalne dokładki i w ten sposób przywięzywać ich do naszych okolic. Nadto uprojektowano w szerszych rozmiarach budowę domów mieszkalnych dla urzędników oraz ułatwienia dla średnich i niższych urzędników w nabywaniu własnych gruntów i domów, ażeby „pogłębić w nich i utrwalić poczucie przynależności do dzielnic wschodnich." Słowem niema idei, którąby się w Berlinie nie zajęto, ażeby udogodnić i uprzyjemnić Niemcom pobyt „in den urdeutschen Landesteilen."

Ale snadź wszystkiego za mało. Żądza i chciwość uprzywilejowanej niemczyzny wzmaga się bez miary i niema prawie tygodnia, ażeby w hakatystycznej prasie nie pojawił się nowy jaki pomysł obdarzenia „uciśnionych" przez polskość obywateli niemieckiej narodowości.

I tak znana aż do ckliwości „Posener Ztg." występuje teraz z nowym projektem. Nie zadowalniając się ogromnemi sumami, które rząd rzuca na cele wychowawcze dla podrastających i kształcących się giermanizatorów, domaga się specyalnych funduszów wychowawczych dla niezamożnych urzędników i nauczycieli ku lepszemu wyposażeniu dzieci. „Cóż znaczą mieszkania choćby najpiękniejsze i najtańsze, gdy urzędnicy nie zdołają dostatecznie zabezpieczyć przyszłego pomyślnego bytu dzieciom swoim" — tak woła ta arcyhakatystka i żąda już nie tylko znacznych wsparć dla kształcącej się w uniwersytetach i akademiach młodzieży niemieckiej, lecz nie mniej dla młodzieńców poświęcających się średniej i niższej karyerze urzędniczej lub też lepszym rzemieślniczym zawodom.

Z funduszów dyskretnych, uchwalanych corocznie na cele giermanizacyjne i powierzanych naczelnej władzy rejencyjnej do rozporządzania dowolnego, otrzymywali dotąd na studya ci z pośród niemieckiej młodzieży, którzy się rewersem zobowiązali, że conajmniej lat 5 mieszkać i działać będą na kresach wschodnich. Niejeden wszakże ze stypendyatów, wolał zapłacić, co wziął i wynieść się w inne czysto niemieckie strony, a wielu innych przebywszy obowiązkowe pięciolecie, także szukało szczęścia gdzieindziej. To naturalnie nie odpowiadało celom giermanizacyjnym.

Dla skuteczniejszego przeto rozsiedlania wychowańców i przywiązania ich do dzielnic wschodnich zaleca „Posenerka," ażeby po ukończeniu nauk o wiele dłużej między nami przebywać byli zmuszeni.

Wszelkie tego rodzaju projekty napychania zgłodniałej niemczyzny dobrodziejstwami brzęczącemi, niezmiernie smutne światło rzucają na całą jej moralną wartość. Wbrew przechwałkom o wyższości kultury, o żywiołowej sile, o przewadze energii i wytwórczości, musi owa niemczyzna widocznie na bardzo niskim znajdować się poziomie, gdy hakatystyczne mózgi ustawicznie tylko pracują nad tem, jakby ją wzmocnić funduszami z kasy centralnej państwa, na którą wszyscy podatkujący się składają.

„Posenerka" żądając nowych ofiar dla hakatystycznych celów, wspomina o „Towarzystwie Pomocy Naukowej im. K. Marcinkowskiego", jako organizacyi wszechstronnie działającej dla kształcenia polskiej młodzieży. Ale milczy o tem, że fundusze ś. p. Marcinkowskiego powstały z ofiar prywatnych, z poczucia i poświęcenia obywatelskiego jednostek a nie z państwowego skarbu na korzyść jednych a ku ujmie i krzywdzie drugich.

Gdy się więc porówna nasze centralne fundusze stypendyalne z o-

wemi setkami tysięcy rozsypywanemi szczodrze przez rząd, to zaiste słuszniejszą jest duma nasza narodowa, niźli wstrętna pycha i buta niemiecka. My wyrabiamy się własną siłą, bez wsparć, bez pomocy, a nawet krępowani wszędzie w naszych usiłowaniach; Niemcy w dzielnicach polskich rozrastają się nie siłą własną, ale jak pasorzyty na ciele państwowem, wciąż nowych pożądające zasiłków.

Nie dawno temu pismo „Grenzbote" zamieściło obszerny artykuł o „polityce nadmiernej protekcyi", w którym wypowiada tę gorzką prawdę, że ciągłe podsycanie pychy i samochwalstwa, a jednocześnie też obsypywanie Niemców na wschodzie przywilejami i funduszami niweczy ich energią, znieprawia ich charakter, podkopuje moralnie i wiedzie do zniewieściałości.

Trzeźwy ten głos napomnienia pod adresem Niemców, jest dla nas otuchą, że im szczodrzej płyną dobrodziejstwa, przywileje i łaski dla niemczyzny na wschodzie, im więcej projektów i pomysłów dla protegowania niemczyzny, tym więcej dla nas podniety do samoobrony, tym silniej rozwijać się będą pierwiastki naszej narodowej energii, która głównie rozstrzygać będzie o zwycięztwie

Wierzmy w siły własne i pracujmy! *Prawdzic.*

List otwarty do Niemców.

Niezgodne z prawdą raporty i sprawozdania, dostarczane przez naczelnych prezesów rejencyi poznańskiej i zachodnio-pruskiej niemieckiemu kanclerzowi, a użyte na arenach parlamentarnych do uzasadnienia antypolskiej polityki rządu, dały impuls długoletniemu współpracownikowi „Dziennika Poznańskiego" do napisania seryi artykułów, ilustrujących wiernie położenie nasze w zaborze pruskim.

Dla zapoznania społeczeństwa niemieckiego także z istotą stosunków naszych, tak przekrzywianą i maskowaną w referatach urzędowych i w prasie hakatystycznej napisał p. Krysiak na podstawie zebranego w artykułach materyału broszurę pod tyt. „Offener Brief eines Polen an die irre geleitete öffentliche Meinung in Deutschland".

Gdy statystyczne dane, mogące dać pogląd na stan rzeczy w dzielnicach wschodnich monarchii pruskiej, kryją się po kancelaryach rządowych, trudno stworzyć kompletny obraz stosunków, jakie u nas wyrobił wrogi system rządowy. Takiego obrazu też autor w swojej broszurze nie dostarczył. Wszelako z nagromadzonego skrzętnie materyału ułożył całość, zasługującą na uznanie, bo wykazującą dowodnie, że wbrew raportom naczelnych prezesów i argumentom kanclerza, wroga nam polityka pognębia nas nie tylko pod względem ściśle narodowym, lecz nie mniej pod względem ekonomicznym.

Że obłudą i hypokryzyą są twierdzenia, jakoby Polacy wypierali niemczyznę i potężnieli materyalnie, to już dzienniki nasze niejednokrotnie udowodniły. Ale dobrze uczynił autor zbijając kolejno owe argumenty, któremi kanclerz Bülow usprawiedliwić się starał krzywdy wszelkie, jakiemi rząd trapi podbitą a broniącą się uczciwie ludność polską.

Zaraz na początku swoich wywodów autor zbija cyframi przesadne twierdzenia hr. Bülowa o rozwoju spółek polskich w Prusach Zachodnich, zawarte w mowie z d. 13 stycznia r. b. Kanclerz głosił wówczas, iż w r. 1873 było tam tylko 43 polskich spółek z 74 396 mk. funduszu rezerwowego a 3 739 302 mk. depozytów; w r. 1901 zaś było spółek należących do związku 126 z 2 869579 mk. funduszu rezerwowego i 53559698 mk. depozytów. Autor odpowiada na to, że spółek polskich, należących do związku, jest wogóle tylko 126, z tych zaś tylko 32 przypadają na Prusy Zachodnie, a rozporządzają nie 53, lecz tylko $37\frac{1}{2}$ mil. depozytów. W prowincyi poznańskiej zaś jest polskich spółek zarobkowych tylko 94, niemieckich natomiast aż 503.

Skrytykowawszy bezdowodowe twierdzenia kanclerza o rozroście ludności polskiej, na żadnych nie oparte cyfrach, p. Krysiak wykazuje bardzo smutnemi dla nas liczbami, jak wyglądają owe „zdobycze" polskie w zakresie posiadłości rolnych. W przeciwieństwie do tendencyjnie ułożonego wykazu p. kanclerza, autor stwierdza, że posiadłości większych w prowincyi poznańskiej należy do Niemców i komisyi kolonizacyjnej 1186564 hektarów, do Polaków zaś tylko jeszcze 566440 ha, a w ostatnich trzech latach stanowczo więcej majątków polskich przeszło w ręce niemieckie, niźli niemieckich w polskie.

Nie mniej bijącemi w oczy są cyfry, z pomocą których autor wykazuje straszne nasze zgnębienie ekonomiczne. Uprzytomnia przedewszystkiem, że w Poznaniu, gdzie jest istotna przewaga po stronie ludności polskiej, w wyborach do sejmu, w których zamożność decyduje, nie ma mowy o zwycięstwie polskiego kandydata, w radzie miejskiej zaś, w której składzie również się odźwierciedla stosunek zamożności, wśród 60 repezentantów jest Polaków zaledwie 11!

Jak to „Polacy Niemców wypierają" unaocznia się też doskonale w całej administracyi municypalnej, gdy z 259 urzędników miejskich zaledwie 22 zalicza się do narodowości polskiej, a z sumy pensyi urzędniczych 692 568 mk. zaledwie 44350 dostaje się polskim funkcyonaryuszom. Podobne, smutne dla nas stosunki uwidoczniają się w zarządach miast prowincyonalnych, świadcząc wymownie, jak to okropnie Polacy Niemców trapią i gnębią!

Autor nie omieszkał też wyświetlić stosunków w dzielnicy poznańskiej innemi jeszcze cyframi, jako to, że w sejmie prowincyonalnym wśród 44 członków jest tylko 14 Polaków, że w zarządzie założonej przed kilku laty izbie rolniczej z jedenastu członków tylko 2 zalicza się do polskiej narodowości, że w ziemstwie kredytowem zaledwie jeden radzca jest Polakiem, urzędnicy zaś średnich i niższych stopni prawie wyłącznie są Niemcami. Nie lepiej, ale gorzej jeszcze do polskości przedstawiają się różne organizacye prowincyalne, w których zazwyczaj daremnie szukać Polaka.

Wykazawszy, że stosunek liczebny Polaków do Niemców i w zastępach niezawisłej inteligencyi równie niekorzystnie dla nas się przedstawia, p. Krysiak przechodzi wreszcie w dziedzinę handlu, przemysłu i rękodzielnictwa, ażeby udowodnić, że o zdobyczach Polaków na tych polach kanclerz rownież fałszywe wygłaszał twierdzenia.

I tak z 67 mączkarń zaledwie 10 należy do Polaków, z 510 cegielń tylko 88, z 57 browarów 4 i to mniejszego pokroju. Podobnie niefortunny stosunek zaznacza się w zakresie handlu większego, zaczem świadczy fakt, że w izbie handlowej wśród 36 członków jest tylko 5 Polaków.

Z książki adresowej i skrzętnych informacyi wydobył też autor na jaw tę smutną dla nas prawdę, że i w zakresie rzemiosł stokroć gorzej nam się dzieje niż Niemcom. W budownictwie jest prawie dwa razy tyle mistrzów niemieckiej narodowości, co polskiej, w zakresie szewstwa, krawiectwa, rzeźnictwa, kołodziejstwa, garncarstwa, stolarstwa, kotlarstwa i cukiernictwa przewaga Polaków jest tylko pozorną, a nędza wśród szewców i krawców tak się wzmaga, że z trwogą pytać należy jak to będzie dalej. We wszelkich innych rzemiosłach

porówno liczebnie jak materyalnie przeważają Niemcy. Ze słusznem oburzeniem zapytuje autor, jak wobec takiego stanu rzeczy można urągać Polakom zarzutem, że gnębią i wypierają Niemców. Jak mogą najwyżsi przedstawiciele rządu w taki sposób zwodzić opinią niemiecką i osłaniać nieprawdą ten niezbity fakt, że system rządu prze ludność polską do nędzy i głodu i że czemś nieludzkiem jest ten bojkot, który Polaków odsuniętych prawie od wszelkich urzędów, od wszelkich robót donośnych z ramienia rządu, armii lub magistratu, każe pozbawiać jeszcze mozolnego zarobku na pozostałych, zaiste niełatwych polach pracy.

Autor broszurę swą wydał pod adresem uwiedzionej, odałamuconej opinii niemieckiej, widocznie z tą wiarą, że słowa prawdy nie powinny się odbić głuchem echem nawet w tem społeczeństwie, które dziś wprawdzie do bezlitośnej, bezwzględnej walki przeciwko polonizmowi jest podniecone, ale przecież także z ludzi się składa. A jednak zdaje nam się, że płonną jest wiara taka. Ślepa pycha, buta, brutalność bezmyślna, samolubstwo tak się rozpanoszyły i tak zakorzeniły w narodzie niemieckim, że o przekonywaniu czy to za pomocą uczciwych argumentów, czy też cyfr statystycznych niema co marzyć. Dla tych, których ideałem i dogmatem jest siła przed prawem nie istnieją perswazye ludzkie, a jedynie przekonującym argumentem jest również tylko siła, również przemoc, którą niewątpliwie nemezys dziejowa i przeciwko Niemcom wynajdzie.

W to zaś wierzmy, iż żadna krzywda, żadne prześladowanie, żadna niesprawiedliwość nie pozostanie niepomszczoną.

Verus.

Ks. Górnoślązak przemówił o bitwie grunwaldzkiej!..

Imię i suknia kapłańska napawa nas Polaków katolików najwyższą czcią i szacunkiem, jaki wszędzie i na każdem miejscu okazujemy. Chyba żaden naród nie złożył tyle dowodów czci dla swych ojców duchownych, ile to czyni naród polski, mimo niewoli stoletniej i ustawicznych klęsk fizycznych i moralnych. Ale czara goryczy wypływa po nad brzeg wiedy, gdy kapłan Prusak rzuca bezczelną potwarz na najszlachetniejszych narodu, gdy zohydza tego, który imię polskie i świętą wiarę wyrył granitem w dziejach kart naszych, a potomności wzniósł pomnik okazalszy i piękniejszy, niżli łuki tryumfalne Napoleona i piramidy królów egipskich. Mowa tu oczywiście o księdzu giermanizatorze, o kapłanie katolickiem, lecz niemieckiej narodowości, o kapłanie-Prusaku, który wprawdzie słyszy surmę bojową: *Los von Rom!* lecz w zaślepieniu swem i gadzinowym charakterze rzuca perły przed świnie!...

Podpisawszy się „ks. Górnoślązak“, kapłan ten zabiera głos w pisemku „Warmjak“, wychodzącem w Olsztynie, a redagowanem przez zniemczonego ks. Jabłońskiego, — znanego giermanizatora na Warjmi. Wroga tendencya „Warmjaka“ jest społeczeństwu naszemu doskonale znaną, i dlatego nie rozpisuję się o podłej i wstrętnej robocie tego marnego pismidła.

Autor omawiając rok bitwy pod Grunwaldem a przechodząc do faktu, przestaje być krytycznym, traci całkiem zdrowy rozum, bo pisze: „Zakon wielką krainę *pogańską mieczem zdobył* pod *jarzmo* Chrystusowe....“, a kilka zdań dalej: „Przynajmniej *więcej okrucieństw zakon krzyżacki nie wypełnił,* jak ów król Jagiełło, który będąc poganinem, dla korony polskiej się stał chrześcianinem.... Wojna i bitwa Grunwaldzka więc nie była niczem innem, jak zemstą *zwyciężonego pogaństwa* przeciwko *bohaterskiemu zwycięzcy chrześcijańskiemu.*“ O polszczyźnie ks. giermanizatora nie warto się rozpisywać; radzę jednak wziąć jeszcze gramatykę do ręki, bo kto źle pisze po polsku, ten i źle rozumie fakty historyczne, a zwłaszcza kapłan, wykładający słowo Boże.

Lecz wróćmy do wyżej cytowanych słów. Ksiądz giermanizator przyznaje w swej prostocie gołębiej, że Zakon krzyżacki zdobył *mieczem,* podkreślam słowo mieczem, wielką krainę *„pogańską“* i zdobył ją pod *jarzmo* Chrystusowe, co też podkreślam, zwłaszcza słowo *jarzmo.* Może być, że księża giermanizatorzy, a takimi również byli krzyżacy, zdobywają ciemny lud pogański *mieczem* i to jeszcze pod *jarzmo* Chrystusowe. O, jakiś ty księże-Prusaku wcielony brat Krzyżaków! Tobie potrzeba miecza i krwi, dymiących się chat! Jęk niemowląt i rozpaczliwy krzyk brzemiennych matek, to kapłanie pruski — dla ciebie modlitwa, na której buduje się Zakon Chrystusowy! Krew, żelazo, mord, pożoga — to twój krzyż, którym nawracasz ciemne ludy pogańskie! Na trupach i białych kościach niewinnie wymordowanych pogan wznosisz dzieło kultury, sławiasz ołtarz miłości Chrystusowej! I któż jest zbrodniarzem? Na kogo spada krew pogańska? Czyś czytał, kapłanie, iżby Chrystus Pan nawracał mieczem i *krwią?* Chrystus *jarzma* nie znał, bo miał serce przepełnione *miłością,* a tam gdzie jest miłość, jarzma absolutnie być nie może! Czyś czytał dalej, aby jeden z uczniów Chrystusa Pana, a takim i ty masz być kapłanie, *mieczem nawracał pogan?* Tyś gorszy od bezrozumnego zwierzęcia, które dławi i morduje dla zaspokojenia żołądka, bo pochwalasz krzyżacki czyn mordu i pożogi dla zaspokojenia potrzeb duchowych, dla nawrócenia poganina na łono chrześcijaństwa! Twoje serce jest z żelaza i kamienia, bo gdyby się w niem miłość rozsiadła, byś cierpliwością, która się rodzi z miłości, pokonywał pogan. A patrz, ten Jagiełło, ten dla ciebie wstrętny poganin, którego obrzucasz jadem nienawiści, czciciel Perkuna, powodowany jedynie miłością dla dziewicy szlachetnej, królowej Jadwigi, burzy własną dłonią przez mnogie wieki czczonych bogów z kamienia i bierze *bez rozlewu krwi* na siebie krzyż miłości i cierpliwości, by stać się uczestnikiem Chrystusowym, hołdować Mocarzowi nad mocarze, ale Mocarzowi bezgranicznej miłości i sprawiedliwości. Jeżeli kapłanie, a jakim się mianujesz, w tobie została jedyna iskierka miłości i sprawiedliwości, wtedy krzyżacki rozum twój, a choćby był najwięcej zakażony mordem i zbrodnią, nie może pochwalać *zdobywania zastępów Chrystusowych mieczem i ogniem,* bo Chrystus — jeżeli pojmujesz istotę Stwórcy i Pana — jest *miłością* najwspanialszą, *zdobywającą* ciemne dusze pogańskie nigdy nie wyczerpaną *cierpliwością!*

Nie rzucam na ciebie, kapłanie, kamieniem, bo dzika grusza rodzi tylko kwaśny i cierpki owoc. Nie mogę potępić poganina, że morduje i grabi, bo serce jego nie zna miłości; rozum mój nie potępi wilka, że rozszarpał niewinne jagnię, bo w wilku cierpliwość ludzka nie okiełznała dzikich instynktów jego i dlatego w tej chwili nie mam żalu do ciebie, boś sercem i duszą *dziki,* a rozum twój zaprzągł się w jarzmo przemocy i gwałtu, mózg zaś zalany jest krwią ludzką, rodzącą tylko instynkt zwierzęcy.

Poprzestanę na powyższem, nie wdając się w dalsze wycieczki autora przeciw historyi naszej; nie będę zbijał fałszów i brutalnych napaści powstałych jedynie w zapędzie hakatystycznym a raczej dla braku czystego rozumu i logiki u pruskiego księdza giermanizatora...

My zbawienia naszego szukamy w miłości i bojaźni Bożej, ale nigdy we krwi ludzkiej, w sile i przemocy. Dlatego też nasza wiara w Chrystusie Panu nie jest dla nas jarzmem, lecz szczęściem wiekuistem. Szable nasze z ostatnich walk o niepodległość zamieniliśmy na lemiesze, a duszę i serce uzbrajamy w broń najszlachetniejszą, bo *w miłość, sprawiedliwość i — cierpliwość...* Pod sztandar ten gromadzimy nasze zastępy, bo jest on niezwyciężony, chociażby wy-

toczono przeciw niemu miecze krzyżackie, i działa największego kalibru!

Ty zaś księże nawracaj pogan mieczem i ołowiem; kaźń i bicz niechaj ci towarzyszą w rozwoju cywilizacyjnym, nas one nie przerażą i nie spędzą z drogi miłości i szlachetności, bo:

„wiara, nadzieja i miłość, te trzy: lecz największą z nich jest miłość.....“ pozostaną dla nas zawsze tarczą i opieką.

Ordon.

Izba rzemieślnicza na usługach hakatyzmu.

Z poręki poznańskiej izby rzemieślniczej wydano cyrkularz, w którym wyłącznie poleceni są *niemieccy* majstrowie *szewscy i krawieccy.*

Fakt to w każdym bądź razie nadzwyczaj ciekawy, że izba rzemieślnicza poznańska dała się użyć do hecy antypolskiej i ciągnie jarzmo bractwa trzech liter. Przecież izba rzemieślnicza zarówno obejmuje niemieckich, jak polskich majstrów rzemieślniczych i winna pracować nad ogólnem stanem dobra rzemieślniczego, a nie zaprzęgać się do pługa hakatystycznego, tworzyć w ten sposób rozłam między ludźmi, którzy pragną pracować w spokoju i żyć po ludzku.

Treść owego cyrkularza brzmi tak:

„Spis tych niemieckich majstrów szewskich i krawieckich w Poznaniu, którzy należą do „niemieckiego związku stanu średniego“, dlatego w razie potrzeby poleca się ich usilnie łaskawym względom. Majstrowie ci są także gotowi, na listowne powiadomienie nawet na mniejsze zlecenia do domów zamawiających przybyć.“

Podajemy nazwiska tych majstrów niemieckich, poleconych przez hakatę, by polska publiczność dokładnie zanotowała sobie te nazwiska:

Z majstrów szewskich są poleceni: Ernst Triebwasser garncarska 8, Karól Augustin Pawła kościelna ul. 4, Fryderyk Alscher Pawła kościelna ul. 1, Otto Bachmann Sapieżyński plac 5, Gustaw Bittermann ul. Parkowa 6, Bruno Dehmel, św. Marcin 58, Emil Dressler św. Marcin 56, Maks Fischer Podgórna 12a, Teodor Helfer, Jadwigi ul. 14, Otto Hanker Wiktoryi ulica 25, Amandus Knaute Wodna ul. 12, R. Köhler Bismarcka ul. 6, Emil Liehr Ogrodowa 6, L. Lorend Półwiejska ul. 12, Gustaw Mode ul. Moltkego 16, Wilhelm Noak plac Działowy 10, Paweł Noak Capriviego ul. 70, Paweł Reimann Ludwiki ul. 22, Fr. Rosentreter Naumana ul. 15, Karol Rüdiger Cesarza Fryderyka ul. 16, Adolf Spaenger Cesarza Fryderyka ul. 18, Karól Stiller Cesarza Fryderyka ul. 23.

Z krawców są następujący majstrowie poleceni: Adolf Bergander Wiktoryi ul. 17, Henryk Brettcher Wilhelmowski plac 17, Emil Lublitz Wrocławska ul. 20, Antoni Dürscheid Wiedeńska 7, Paweł Ehrlich Lipowa 9, Ian Zengler Garncarska 1, Hermann Hauch Lipowa 9, Paweł John Sapieżyński plac 7, Emil Kupfer Wodna 16, Jan Lisowski Piekary 26, Augustyn Salewski Wiedeńska 6, Herman Schnabel Rycerska 2, Adolf Seide Zielony plac 2, Ferdynand Seide Ogrodowa 19, Augustyn Schmidt Wodna 4, Piotr Schuck Lipowa 9, Karól Süssengut Naumanna 11, Wilhelm Wandrey Wodna 11, Wittig Wiktoryi ul. 5, Karól Woitke Wielkie Garbary 39.

Wyżej wymienieni majstrowie należą do hakaty, która nosi nazwę: „Niemiecki związek stanu średniego.“

Jestto nowa próbka bojkotu przeciwko polskim rzemieślnikom, na którą należy nam odpowiedzieć hasłem: *Kupujmy u swoich!* a tych, którzyby mimo naszego ostrzeżenia w stosunki z hakatystami wchodzili, piętnować publicznie, bo innej rady na razie nie mamy, jak tylko na bojkot odpowiadać bojkotem, przeprowadzonym z całą sumiennością i konsekwencyą.

Solidarność niemiecką zwalczajmy solidarnością polską, odrzucając na bok wszelkie waśnie i urazy, chociażby często ze stratą własną, bo jednostce nie trudno przyjdzie składać drobną ofiarę w imię ogółu. W ciężkich i trudnych warunkach życia naszego, gdzie gromy i pioruny walą codziennie, winniśmy się zszeregować pod jeden sztandar i zwartą siłą przeciwstanąć brutalnej falandze niemieckiej.

Swój do swego!

Masovicus.

Kultura pięści.

(Czy państwowe organizacye tworzyć koniecznie muszą tylko poddani jednej religii i tej samej narodowości?)

Dwa czynniki są prócz żądzy władzy i chęci posiadania, miarodawcze, głównie ukształcające stósunki międzynarodowe, zespolenia państwowe, państwa; a tymi czynnikami były i są religia i język. Na dowód służy historya tak zamierzchłej przeszłości jak wysiłki teraźniejszości przeróżnych mężów stanu.

Ideałem jest może państwo o tej samej religii i narodowości, lecz czy dla zrealizowania tego ideału może wolno wydzierać mniejszości poddanych bądź to religią, bądź to język w łagodny czy brutalny sposób? —

W dwudziestem stuleciu po Chrystusie odczuwają poddani aż nadto, że to nie wolno; każdemu poddanemu aż nadto świadomem, że każde państwo starać się powinno o szczęście, zadowolenie poddanych pod duchowym i materyalnym względem; wiedzą, że, wypełniając wszelkie obowiązki spokojnych poddanych: płacąc podatki i szafując hojnie krwią nawet, mają najsłuszniejsze prawo żądania zaopiekowania się ich świętościami: religią i mową; — wiedzą i rozróżnić to aż nadto potrafią, że tabakiera jest dla nosa, nie zaś czasem odwrotnie.

Lubo taki obowiązek ciąży na każdem państwie, lubo uszczęśliwienie li tylko poddanych powinno być wytyczną postępków, zarządzeń możnych tego świata, grzeszono i grzeszy się bez upamiętania ciężko pod tym względem; sternicy naw państwowych, zapoznając przeznaczenie państwa z wiedzą lub bez wiedzy, wylali i wylewają potoki, morza łez i krwi poddanych, za które krzywdy ciężki rachunek kiedyś, napewno po śmierci, zdadzą.

Nie zapuszczę się w celu udowodnienia tympodobnego nadużycia władzy w historyą przedchrystusową, najzupełniej wystarczy, gdy wskażę na niektóre grozą, bo krwią, wiekopomne zdarzenia i polityczne przeobrażenia pochrystusowych czasów.

Wiekopomne, bo pod hasłem wiary lub wiary i narodowości występowały już po niejednokrotnie całe państwa, narody do *śmiertelnych* zapasów. Zwalczone narody, często dopiero niemal w pień wycięte, przyjmowały z konieczności, nie czasem dobrowolnie, znienawidzoną i przemocą narzuconą wiarę i narodowość zwycięzcy. — Taka zaciętość w obronie odrębności pod religijnym i narodowym względem daje chyba dostateczną ocenę i religii i narodowości. W istocie samej religia i narodowość stanowią też drogocenne skarby, świętości narodów, — są istotnemi cechami i piętnami narodowemi.

Weź narodom te piętna: uobyczajenie, pochodzące z religii, weź im język, obyczaje i zwyczaje, ich wspomnienia wiekowe, ich wiekami zdobyte kulturne zdobycze, a pytam, czy we

Francuzu n. p. poznasz Francuza, we Włochu Włocha, w Niemcu Niemca? — Nastawać też na religią, na język narodu, nie jest ni mniej ni więcej, o bezczelności drapieżna! co żądać śmierci narodu.

Wysiłków tak krwiożerczych nie można pogodzić ze zasadami chrześcijańskiemi, ani nawet z ogólnoludzkiemi: „Czego nie chcesz, żeby tobie czyniono, tego i ty nie czyń.“ — Żeby zaś takie wysiłki były oznaką uobyczajenia, *prawdziwej* kultury, nikt seryo twierdzić nie zechce.

Byli prawda politycy, są i po dziś dzień jeszcze państwa, szanujące wzmiankowane świętości poddanych; w poczet ich zaliczyć wypada n. p. Szwajcaryą, Stany zjednoczone północnej Ameryki.

Rzymska historya również wykazuje, że kierownicy rzymskiego państwa religią i język przeróżnych podbitych narodów szanowali, cenili. Najoczywistszym dowodem ich poszanowania była świątynia wszechbogów „Panteonem“ zwana, w której stawiano obok rzymskim bogom posągi również wszystkim innym bóstwom podbitych narodów. — Budowa ta starego Rzymu, nader wspaniała nie była, wierzajcie ministrowie, bezmyślna; uświadomiała bowiem zawojowanym ludom, że oto Rzym szanuje ich religią; zostawiono również podbitym narodom ich narodowość, ich język; przyswajano sobie nawet odwrotnie -wykwintny podbitych Greków. — Pomimo ucisku pod innym względem właśnie takiem postępowaniem, pełnem poszanowania dla tych świętości każdego narodu, uczynili Rzymianie narodom ujarzmienie jeszcze jako tako znośne, temu roztropnemu postępowaniu zawdzięczali, że kolos strupieszałego państwa rzymskiego pomimo zupełnego spaczenia obyczajów i krańcowego zepsucia — a zatem niemocy — tak długo jeszcze istniał.

Wobec tego faktu i wiele podobnych, historyą stwierdzonych, trzebaby niemal mniemać, że snać wiele polityków, statystów, uczy się historyi, żeby się z niej nic nie nauczyć, bo w przeciwnym razie nie byłoby ucisku religijnego, ani wysiłków, zmierzających wprost do wytępienia narodowej mniejszości; bo trudno doprawdy inaczej tłomaczyć drakońskie rozporządzenia, dybiące na tak wielkie świętości narodowe, jakiemi są język i religia dla każdego narodu.

Bo czy posądzać koniecznie ministrów o tak dalece spotęgowany egoizm, że dla li tylko dzierżenia teki ministeryalnej czynią ofiarę z własnych przekonań i przeświadczeń z uszczerbkiem nawet dobra poszczególnego państwa! — Byli i są ludzie niezłomnego przekonania i stałego charakteru, — lecz byli i są niestety i ministrowie chwiejni jak trzcina, i aż nadto zbytnio czuli i dbali o swe powodzenie, o swą gwiazdę. — Biada państwom, których sternicy nad miarę o sobie pamiętają, którzy to, schlebiając większości, mniejszość krzywdzą, uciskają, tępią. — Boć że żadne państwo za straszny ucisk przywiązania poddanych spodziewać się nie może, dowodzić również nie potrzeba.

Dobro zatem Ojczyzny nakazuje zaprzestania ucisku religijnego czy narodowego; prawdziwy patryotyzm również zwrot z tak oczywiście błędnej i bezcelowej drogi dyktuje; — oduczcie się chrześcijańscy politycy choćby tylko trochę od pogańskich Rzymian ich chrześcijańskich rządów, a zapewniam wraz z trzeźwo zapatrującym się światem: „Ojczyźnie waszej odmienne rządy od dzisiejszych na korzyść będą, nie stanie jej się żadna krzywda; — przeciwnie ogólne ukontentowanie przez porówne traktowanie wszystkich obywateli bez różnicy, fundamenta państwa umocni, utrwali: cel wszak wymarzony przez każdego patryotycznego męża stanu!“ — Kto z was pierwszy, weźmie na odwagę i osobą własną stanie murem naprzeciw rozpasanemu szowinizmowi narodowemu w Europie, kto się ośmieli sięgnąć po najzaszczytniejszy bodaj przydomek pośmiertny: „zbawcy narodów!“ Czy i ta zachęta, opromieniona taką chwałą pośmiertną, zostanie dla względów osobistych, niskich głosem wołającego na puszczy?

Zawierzcie zresztą przeświadczeniu jak mur stałemu: „Haagskie zamysły nie prędzej zostaną w czyn wcielone, zanim nie zaprzestanie się ucisku religijnego i rasowego we własnym ustroju państwowym; jest to poprzedzająca, nieodzowna konieczność: zwycięztwo mocniejszego nad ową zachłannością zwierzęcą, łatwiejszą tutaj, bo nakazaną względami na całość Ojczyzny, zanim o zażegnywaniu wojen międzynarodowych, państwa z państwem, za pomocą sądów rozjemczych marzyć można.

Olbrzymie państwo rzymskie koniec końcem jednakowoż się rozpada a na gruzach tworzą się mniejsze państwa, w skład których wchodzą szczepy, pokrewne językiem i uobyczajeniem. Powstają zarodki Francyi, Hiszpanii, zespolenie szczepów germańskich; na półwyspie Bałkańskim pojawia się carstwo serbsko-bułgarskie, na północ powstają państwa węgierskie, czeskie; przestrzeń zaś od Wezezy, Łaby aż het poza Wisłę, aż ponad Dniepr, zajmują przeróżne szczepy słowiańskie. — Tak samo tworzą się początkowo w Azyi Mniejszej i w Afryce na gruzach państwa rzymskiego podobne organizacye państwowe, których rozmiar i granice nakreśla poniekąd wspólny język i uobyczajenie. Lecz nie długo takie naturalne, językiem i uobyczajeniem wskazane ugrupowania państwowe się ostają.

W siódmym wieku powstaje w Arabi Mahomet i głosi nową wiarę od chrześcijańskiej: turecką, czyli też islamem zwaną. Już trzeci z jego następców przywłaszcza sobie prócz kapłańskiej i świecką władzę nad wiernymi, i w celu rozpowszechnienia nie tyle wiary ile władzy świeckiej rozwija sztandar wojenny. W zwycięzkich pochodach podbija wierze, ale i sobie, jako władzcy świeckiemu, najprzód ludy Arabi i Małej Azyi; potem zwraca się do Afryki i kąpie się w potokach krwi opornych Egipcyan i Etyopów, ujarzmia narody, obce wiarą i językiem, północnej Afryki, i, przeprawiwszy się z krwawym mieczem przez cieśninę Gibelaltaru do Hiszpanii, zamierza po podbiciu Europy islamowi i zburzeniu Konstantynopola wrócić przez cieśninę Dardanel do Mekki-Medyny, pierwotnych stolic państwa tureckiego. Szalony zamiar zostaje dopiero na błoniach Tours i Poitiers, w sercu dzisiejszej Francyi pokrzyżowany, dokąd się ludy całej ówczesnej zachodniej Europy w obronie wiary chrześcijańskiej stawiają. Błonia krwią spłynęły, lecz ofiarą tą okupiła Europa wtenczas wiarę. Sfanatyzowany Turek cofnął się do Hiszpanii, której południową część aż w 15-ty wiek w nieznośnym ucisku dzierżył.

Jak roku 732 po Chrystusie przodkowie dzisiejszych Francuzów skutecznie i mężnie w obronie wiary chrześcijańskiej piersi nastawili, tak zasłaniali Polacy, nasi praojcowie, również mężnie i skutecznie, ale daleko wytrwalej Europę, jej wiarę i kulturne zdobycze przez całe wieki przed zalewem hord tatarskich i tureckich. — Pobojowiska Lignicy, Warny, Zbaraża, Chocimia, Kamieńca, a ostatecznie Wiednia złożyły się na chlubną nazwę Polski i stały się „przedmurzem chrześcijaństwa.“

Zacięty opór stawiali i pogańscy Prusacy i Litwini nawracaniu na wiarę chrześcijańską krzyżakom. Zakonowi niech tam wmawia się w interesie wyrachowanym wszelkie zalety, daru wszak nawracania i interesowani mu historycznie nie zapewnią. Spo-

sób bowiem zjednywania wierze zwolenników pożogami i mieczem, praktykowany przez krzyżaków, jest znany i chyba nie został uświęcony przez Chrystusa i apostołów, głoszących i zarazem wypełniających miłość wygłaszanej wiary. Prusacy woleli się dać w pień wyciąć, tak że po nich została się tylko nazwa, którą wraz ze ziemią krzyżak sobie przywłaszczył, nim odstąpić wiary ojców i zwyczajów. — Religia,język i z nich idące właściwości są świętości, w obronie których krew potokami przelewano, a nad utratą których narody nawet wytępienie przenosiły. — Tak klęska krzyżaków pod Grunwaldem, zadana miażdżąco germanizmowi, 1410 roku przez Polaków-Słowian, zostanie również po wiek wieki historycznym dowodem zapasów rasowych, t. j. narodowych, na śmierć lub życie.

Historya zatem aż nadto o cenności wiary i narodowości każdego poucza; — napaść więc na te dary boże jest świętokradztwo, a napastników krzywdzony naród na śmierć znienawidza. — Dowodzi się zatem zmysłu politycznego, czyniąc trudności, choćby nikłe, w tym kierunku spokojnym poddanym?

Tylko mężowie stanu, pracujący na osłabienie, — bo znienawidzenie rządu i jego ustroju, — antyreligijne i antynarodowe rozporządzenia wydawać zdolni!

Każda instytucya, która w tym względzie grzeszy, sama sobie szkodzi, tracąc z dnia na dzień na przywiązaniu, tak że w końcu zamiast przywiązania rodzi się u pokrzywdzonych lekceważenie, następnie nawet nienawiść. Kościół też katolicki powinien być pomimo nacisku czujny, — i za nic w świecie nie zezwalać, żeby poddanym pod językowym względem gwałt zadawano; dlań lepiej, gdy wątpliwe jednostki do dostojeństw nie dopuści: że stolice biskupie — parafie — nie zostają zajęte, nimby służyć miały do wynaradawiania.

Bo czy nie boli — boleć nie musi — gdy dostojnik do dyecezyan, do parafian ich językiem przemówić nie potrafi; — czy tak nienormalny stósunek służy dobru kościoła? Wszak nie. — Obyś nigdy nie był po godność sięgnął! ona będzie przyczyną ciężkiego obrachunku wobec Boga; wiedzieć powinieneś, że niemal na równi z wiarą cenią i miłują narody język, narodowość; nie będąc przychylnym, ba nawet wrogiem jednej świętości, tracisz na przywiązaniu i pod religijnym względem, stajesz się obojętnym, a z czasem znienawidzonym; taki stósunek nie jest na pożytek kościołowi; przekonały o tem zajścia, wyświetlone n. p. przez niejeden proces (:Sztum-Grudziądz), które bodaj epilogów nie będą miały we wieczności.

Dzikość, żarloczność są znamiona dzikich zwierząt, im też te właściwości ujemne, znamionujące ich drapieżność, przypisujemy; lecz po prawdzie sądząc bezstronnie, powinniśmy orzec i pełni wstydu przyznać, że ludzie zwierzęta bezrozumne żarlocznymi popędami daleko przewyższają. Zwierzę bowiem drapieżne, idąc li tylko za wrodzonym instynktem, — rzuca się na słabsze jedynie w celu zaspokojenia głodu.

Ludzi, narody powinno od zwierzęcych popędów wstrzymywać uobyczajenie, rosądek, który właśnie odróżnia niedościgniono ród ludzki od zwierząt. Prócz tego wydzieranie religii, języka — w razie ostatnim skazywanie narodu na śmierć — jak jest i pozostanie dążeniem o apetytach zwierzęcich, tak nie jest na dobitkę nieodzownie potrzebne do istnienia napastnika.

Nadto stoją zapędy tym podobne w sprzeczności ze zamiarami Stwórcy, który języki stworzył, który sobie zatem życzy na kuli ziemskiej istnienia przeróżnych narodów, niby bukietu przeróżnych, cudnych kwiatów.

Powstrzymajcie się zatem w zapędach możni tego świata: świeccy czy duchowni, bo źle się bawicie, uciskając świętości narodowe; — igraszka to szkodliwa w skutkach dla waszych ustrojów, — a nadto godzi w rozwój i życie narodów.

Narodowiec.

Z życia kresowego.

Gdańsk, 10 września 1902.
(Specyalna korespondencya „Pracy.“)

Gdybym był komedjopisarzem w rodzaju „Zyzia“ Przybylskiego, napisałbym bezwarunkowo farsę pod tytułem: „Kobiety gdańskie“ i wiem z góry, że rzecz o takim tytule granoby najmniej pięćdziesiąt razy z rzędu, bo najkomiczniejsze sytuacye wyrastałyby, jak grzyby po deszczu, a śmiech widzów przechodziłby w spazmy nieustające. Kto nie wie, jak „zaszczytną“ rolę i misję w życiu publicznem odgrywają nasze panie od całego szeregu lat, ten nic nie wie; nie wie, że Ewa skusiła Adama, a kobiety gdańskie kuszą również mężów, lecz z tą różnicą, że gdy w dolinie między Eufratem a Tygrysem chodziło o utratę raju, tu idzie o zupełne *zaprzepaszczenie życia towarzyskiego* i kompletne *zabagnienie* i tak już suchotniczych *towarzystw*.

Dalibóg, proszę mi wierzyć, że niemasz dla mnie przykrzejszej rzeczy, jak prawić morały, zwłaszcza publiczności uszkolonej. A i łamy „*Pracy*“ nie są na to, by na nich mentorować i w błotku najniesmaczniejszych plotek odgrzebywać sprawy publiczne, szczególniej na tak wytycznem ognisku życia narodowego, jakiem bezsprzecznie jest Gdańsk. Nie dosyć, że fala niemczyzny z bezwzględną siłą szarpie nasze i tak już mocno wyszczerbione brzegi, my sami, bez namysłu i poważniejszego zastanowienia się, kalamy własne gniazda, żyjąc przytem w ustawicznej waśni i kłótni.

Jeżeli w Gdańsku będzie 6000 dusz polskich, z których zaledwie kilkaset należy do towarzystw, tem więcej smutnem, że i ta mała garstka nie może utrzymać harmonii należytej, nie może się zespolić w jedno serdeczne, ciepłe i silne ogniwo, któreby rozgrzewało wygasłe w uczuciu ojczystem dusze i serca i krzepiło je świeżym zdrojem narodowym, a napierającej zewsząd niemczyźnie stawiło dumnie czoło.

Tymczasem w Gdańsku, tej odwiecznej strażnicy polskiej, zwykła szarzyzna i płytkość wzbiły się nad sprawę publiczną i grasują zapamiętale, niszcząc do reszty tę serdeczną nić uczucia, która w innych miejscach stanowi kit narodowy.

Płakać możnaby z rozpaczy i bólu, że w duszach i sercach jednostek rozsiadł się egoizm wstrętny i brudna prywata, wyrastające wysoko nad sprawy publiczne. A tem więcej opanowuje człowieka żal i smętek, że przodują w tem, nie średnie stany, ale warstwy uszkolone, ludzie o wykształceniu akademickiem. Znam stosunki i życie kresowe dokładnie i nie rzucam bezwzględnie kamień potępienia na tych, co w obecnych trudnych warunkach ze względów często bytu nie mogą wszędzie publicznie występywać, ale zwrócę uprzejmą uwagę, że i bez narażania się na utratę chleba przy dobrych chęciach można tak spełniać obowiązki obywatelskie i narodowe, że z sumieniem własnem nie trzeba stanąć w kolizyi. Lecz mamy jeszcze wielu takich Polaków, zwłaszcza na kresach, którzy żyją wyłącznie tylko dla chleba, zapominając całkiem, że i duchowa strona człowieka winna mieć karm codzienny. Do tych szczególniej piję moją korespondencyą a jeżeli nektar w niej zawarty będzie

cokolwiek za odurzającym, tedy, proszę mię wytłomaczyć, gdyż czynię to z pobudek szlachetnych, li tylko narodowych, bo raz nareszcie trzeba się zabrać do lotu i budzić śpiących i opieszałych, a takich mamy liczbę bardzo pokaźną.

Kilka dni temu, wchodzę do składu jednego z przyjaciół i po omówieniu naszej prywaty, zapytuję: „Co się stało z „Ogniwem?“ — „Ogniwo“ — odrzecze interpelat — upadło już dawno; aleśmy je nie odmeldowali, by w danym razie powołać do życia...“ Oczywiście wielka przezorność i dobroduszność, zamknąwszy człowieka w celi więziennej, twierdzić, że żyje, a nawet oddycha powietrzem...

„A gdzież „Lutnia“ i „Sokół“ — pytam dalej. „Lutnia“ i „Sokół“ żyją, a jakże żyją, ale powiem ci w sekrecie, że na — papierze; dziś wprawdzie istnieje w Gdańsku tylko jedno towarzystwo — „Jedność“ — jak wiesz towarzystwo ludowe — kończy druh rozrzewnionym głosem, a w piwnem jego oku zabłysła szczera łza smutku.

Stowarzyszenia rzekomej inteligencyi, wiodące przez ostatnie lata żywot chorobliwy, zmarły; *ułożono je do mogiły*, a jako znak ich żywota, deklarowano w policyi świstek papieru, mający świadczyć, że Polonia gdańska jest i patryotyczną i bardzo — przezorną...

Czy w grabarzach, składających do wilgnej mogiły skrwawione cząstki serca Ojczyzny, zagrzebujących żywcem część swej duszy — nie obudzi się sumienie? Czy istotnie prywata rozgościła się w mózgach tak dalece, że bez najmniejszego wyrzutu sumienia można było pogrzebać żywcem „Ogniwo“, „Lutnię“ i „Sokoła?“

Przypatrzcie się skrwawionej Ojczyźnie!

Kiedyś w mlecznej szacie i o białem, wysokiem czole, z którego po różowych i okrągłych ramionach zwieszały się olbrzymie kiście złotawych włosów, a w modrem oku żarzył się święty ogień; z lica piękniejszego niż białe lilje, biła duma królewska, spokój anielski i ta czysta, szlachetna miłość, która tuli do siebie, a każdy ból koi na zawsze...

A dziś?... Biała szata zbrukana krwią najszlachetniejszych; wyniosłe i dumne czoło ustrojone w krzaczaste i ostre głogi, wciskające się głęboko, a na licu, na tem prześlicznem licu bezbrzeżny ból wyrył straszne znamię stoletniej niewoli... Wam mało tej olbrzymiej męki i rozpaczy! Za mało wam zbryzgana krwią biała szata! Więc wtłoczcie jeszcze brutalną dłoń w szlachetną pierś i wyrwijcie w krwi czarnej dymiące serce! Śnieżną skroń o fijoletowych żyłkach opaszcie czarną wstęgą, gdyż tylko tak straszne obrazy są zdolne skruszyć od egoizmu skamieniałe serca! A wierzajcie, że jeden jedyny czyn szczery, zwykła chęć, gładzi czoło zrozpaczonej Ojczyzny, a na zbolałem licu wywołuje radość wielką, promienną....

Mam nadzieję i wierzę mocno, że kolonia gdańska w dłuższej apatyi i bezczynności społecznej nie wytrzyma, bo dobre chęci wyprzodują złe sumienie, a rozumniejsze i żywsze jednostki, zrażane wprawdzie ustawicznie, powołają gnuśnych i ospałych ponownie do pracy narodowej, chociażby nawet z uszczerbkiem własnej ambicyi, bo panowie w takich razach, gdzie chodzi o spełnienie misyi patryotycznej, wzmocnienie duchowe wytycznych posterunków, tam ambicye i osobiste urazy, można złożyć w ofierze z dumnem czołem!

Jako rzecz bardzo ważną i ogromnie rozumną ze strony jednostek gdańskich wykonaną i wprowadzoną w życie, podnoszę fakt, że gdańszczanie w miejsce „Sokoła“ utworzyli „Kółko gimnastyczne“, które, aczkolwiek mniej pozornie szumne i jaskrawe, spełni tenże cel szlachetny. I w innych ogniskach życia naszego, gdzie „Sokół“ bił zanadto w oczy, a druhów narażał na szykany i inne przeciwności, zmianę taką polecić można naturalnie tylko wtedy, gdy zachodzić będzie potrzeba konieczna.

Wracając do Gdańska, chciałbym jeszcze tylko zaznaczyć, że inteligencya miejscowa, a chociażby nawet najakademiczniejsza, wykaże wówczas prawdziwą inteligencyą, gdy się zbliży do ludu i podniesie jego stan duchowy do tych wyżyn, na jakich ona stanęła dzięki pomocy ojców i narodu, bo nauka i wiedza nie jest wyłącznym monopolem wybranych jednostek, ale kagańcem i słońcem, którego ciepłem wszyscy bez różnicy ogrzewać się mogą.

Słońce świeci dla wszystkich jednako! *Sulla.*

Z TYGODNIA.

Prasa nasza w braku treści poważniejszej, rozpisuje się obszernie o zjeździe cesarza Wilhelma i cara Mikołaja w Rewlu i wyciąga stąd konsekwencye, zapewne jeszcze dalej idące, aniżeli horyzont fantazyjny dwóch monarchów i aby zjazd uczynić sprawą pierwszorzędną i bardzo poważną, przytacza wymarzone panegiryki pism niemieckich, stojących jak wiadomo na usługach jednostek.

Każdy człowiek odrobinę ściślej myślący, przyzna, że opinję, system, prądy, politykę małą i wielką — robią pisma, prasa, o czem naturalnie wiedzą również monarchowie i dlatego mają na swoje rozkazy usłużną prasę, której ze swych gabinetów tajnych podają odpowiednie wskazówki. Tym razem chodzi o stosunki polityczne Rosyi i Niemiec względem Anglii i doprawdy arcykomicznem jest prawienie, że naród niemiecki dba o tradycyjną przyjaźń rosyjską... Skąd naród i gdzie naród niemiecki?! Czyż naród niemiecki jeździ do Rosyi, lub odwrotnie? A wreszcie odkąd tradycyjna przyjaźń rosyjska?... Wstrętna ta blaga panuje jednak i mydli oczy narodowi ustawicznie.

Najciekawszym jednak wypadkiem ubiegłego tygodnia jest depesza cesarska do króla bawarskiego, w której Wilhelm II ostro strofuje posłów centrowych z sejmu bawarskiego, że nie uchwalili 100,000 marek na cele sztuki. W depeszy tej mówi cesarz z „najgłębszem oburzeniem“ o „nikczemnej niewdzięczności“ i ofiarowuje ze swych funduszów ową sumę. Regent bawarski, Luitpold, podziękował szczerze, ale formą i treścią nie potępił reprezentantów sejmu. Prasa niemiecka w taktownej odpowiedzi Luitpolda nie widzi znów takiego rozgoryczenia, jakie daje depesza cesarska, zredagowana bez przyzwolenia kanclerskiego i co najdziwniejsze, puszczona w świat jako depesza publiczna, a więc całkiem urzędowa. Wobec panującej niechęci ku Prusakom w południowych Niemczech, a szczególnie w Bawaryi, już dziś prasa bawarska ostro krytykuje mieszanie się cesarza do spraw czysto bawarskich, a większość sejmu bawarskiego i parlamentu niemieckiego, centrum, faktu tego nie pozostawi bez odpowiedzi. — Dotąd nie przebrzmiało echo słów o „polskiej zuchwałości“, które cesarz wyrzekł w Malborku i pamięć ich w duszach naszych nie wygasła, a tu pojawia się zarzut „nikczemnej niewdzięczności“ przeciw większości sejmu bawarskiego, spełniającej tylko swój obowiązek. Sprawa ta w połączeniu ze sprawą naszą pozostawi trwalsze ślady na szpaltach pism, lecz nie należy się łudzić, iżby z kwestyi tej wyniknęły poważniejsze rozterki, bo centrum za rozmaite koncesye i kon-

cesyjki wtoczy się znów na relsy dawnej polityki.

Walka przeciw zakonom we Francyi trwa z tą samą bezwzględnością dalej, chociaż w pismach paryzkich odzywają się głosy, że rząd zamierza postępowanie swe zmienić i nie będzie nadal zamykał szkół zakonnych, ograniczając się jedynie na niedopuszczaniu sił nauczycielskich, aby tem zmusić szkoły do zamknięcia swych podwoi. Pogłoski te nie mają jednak trwalszych podstaw, bo gwałtowna działalność ministra Combesa w niczem się nie zmienia.

Idea odwetu we Francyi nie wygasła bynajmniej, a świadczy o tem najwymowniej mowa, jaką minister wojny Andre miał w zeszły piątek podczas odsłonięcia pomnika dla poległych z roku 1870 w Villefranche. Treść jej taka: „Nie mamy zamiaru sławić wojny, która była pogromem.... Żołnierze, którym stawiamy pomnik, przedstawiają typ żołnierza naszej przyszłości, który zwróci Francyi jej *wielkość materyalną*.... Ten żołnierz *przyszłości będzie mścicielem Francyi* i temu to mścicielowi poświęcamy uroczystość.“

Mowa ta wywołała wielkie oklaski, a w Niemczech odbiła się echem trwogi, że naród francuski nie zapomniał o wyrządzonej mu krzywdzie.

Po pismach niemieckich obiega niepokojąca wiadomość, że w Ipek, w Albanii, odbyło się wielkie zgromadzenie znakomitszych Albańczyków, domagające się od sultana wypowiedzenia wojny Serbii. Koszta wojenne i dostarczenie ludzi biorą Albańczycy na siebie, a gdyby się Turcya do żądań tych nie przychyliła, wówczas oddadzą się Albańczycy pod opiekę Austryi.

Anglia zajęta jeszcze wrażeniami koronacyjnemi króla swego, lecz w pogodny ten nastrój pouroczystościowy, padają lekkie drgnienia z użyźnionych krwią i ciałem ludzkiem pól transwalskich, skąd wynurza się co chwila myśl „odwetu.“ Między garstką pozostałych bohaterów z pod Colenso wre już i kipi, a najmniejsza nieostrożność rządu angielskiego łatwo wywołać może bunt nowy.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

„Hrabia Gołuchowski, który tak zręcznie prowadzi politykę austro-węgierską, zastępował przedtem tę politykę jako ambasador w Bukareszcie, stolicy Rumunii. Umiał on wtedy nawiązać serdeczne stosunki między bohaterskim królem Karolem a Austro-Węgrami. Gdy hr. Gołuchowski został ministrem spraw zewnętrznych w Wiedniu, starał się te węzły przyjaźni ściśnić, co mu się bez przerwy dotąd udaje.“

Ciepłem zbytecznem i sympatyą wymuszoną dokumentujemy zwykle brak rozwagi i zmysłu krytycznego, tembardziej, gdy się rozchodzi o sprawy całkiem obce. Niezadługo, a będziemy się rozczulać nad więcej krewkim komarem, lub też bohaterską pchłą. Czy w ocenianiu przedmiotów i spraw, zwłaszcza obcych, nie należałoby zachować pewnej miary? Bo zbytnie wychwalanie i kadzenie hymnów wielkościom, choćby takim, jak królowa Madagaskaru obniża powagę naszego rozumu a czytający ogół tumani zamiast pouczyć. Wyżej podany wycinek pochodzi z jednej z gazet prowincyonalnych, której nie cytujemy dlatego, by nie wywoływać słomianej polemiki. —

„Kuryer Lwowski“ w jednym z ostatnich numerów podaje sprawozdania z ostatniego walnego zgromadzenia akcyonaryuszów galicyjskiego Banku kredytowego, z którego dowiadujemy się, że bank ten potrafił stracić z powodu nędznej gospodarki tylko 5,938,379 koron! Likwidacyę instytucyi tej przejął galicyjski bank dla handlu i przemysłu w Krakowie.

Wypadkami z lat ostatnich przywykliśmy do bankructw w bratniej ziemi. Zresztą sprawa ta znaną już jest od dawna czytającym, a powtarzamy nekrolog ten tylko z obowiązku dziennikarskiego z tem przeświadczeniem, że po tylu doświadczeniach Galicya zaprzestanie nas obdarzać klęskami tego rodzaju.

„Berliński Lokal-Anzeiger“ podaje wiadomość, że stanowisko naczelnego prezesa, dr. Bittera jest zachwiane. Pismo to jest zwykle dobrze informowane, a wiadomość ta nie jest znów tak przerażającą, tem więcej, że już od dłuższego czasu krążą w Poznaniu pogłoski o ustąpieniu naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego. Jeżeli podana wiadomość się sprawdzi, wonczas nie będziemy mieli potrzeby ronić łzy gorzkie, bo wobec dzisiejszego systemu wszystko nam jedno, kto zajmie ten urząd, gdyż kurs polityki nie ulegnie zmianie. Naczelni prezesowie są zwykłą szabelką, którą sprężystsze i energiczniejsze dłonie wedle potrzeby wymachują i dlatego nie radzimy czynić sobie jakichbądź iluzji, chociażby nam nawet przysłano wielkorządzcę, mającego charakter jagnięcia lub gołębia...

Z Tczewa piszą do **„Gaz. Grudz.“**

„Wiadomo, że p. Gossler chciałby się stać prawdziwym „ojcem“ prowincyi zachodnio pruskiej i dla tego stara się o pieniądze na zakładanie rozmaitych przemysłowych zakładów niemieckich, które jednak bankrutują. Wiemy już, że kilka takich przedsiębiorstw w Gdańsku zbankrutowało; obecnie donoszą znów, że tak bardzo zachwalana fabryka biskwitu i wafli w Tczewie wcale tak dobrych interesów nie robi, bo nie płaci żadnej dywidendy, a w upłynionym roku miała nawet 24,438 m. 42 fen. długu. Przedsiębiorstwa te wogóle by wszystkie pobankrutować musiały, gdyby nie otrzymywały zapomóżek rządowych. Wiadomo także, że przedsiębiorstwom niemieckim dopomaga w wysokim stopniu kolonizacya.“

Wiadomość powyższa, wprawdzie smutna dla „naszych najserdeczniejszych“, winna i dla nas być o tyle smutną, że rząd przedsiębiorstwa tego rodzaju popierać nie zaprzestanie. A wobec faktów takich, należałoby i nam tak się zorganizować, abyśmy również za przykładem Niemców materyalnie wspierali kresowy przemysł, a już z obowiązku narodowego moralnie, to znaczy, czynili tylko u swoich zakupy, a pod utratą czci i honoru, zaprzestali karmić groszem polskim handle niemieckie. Fundusze na popieranie naszego przemysłu kresowego być muszą, jeżeli się tylko rozumnie około tego uwiniemy.

„Posener Tageblatt“ oburza się z powodu zaprowadzenia nauki języka polskiego w progimnazyum w Świeciu. Przebąkuje także, że i w innych, średnich zakładach naukowych, ma być zaprowadzona ta nauka dla Niemców.

Tylko bezmyślność i brak całkiem rozumu może wywołać oburzenie na szpaltach polakożerczej gadziny. Lecz nikczemny system podszczuwaczy wszelkiemi siłami stara się zapobiedz, by przez znajomość naszego języka i wskutek tego, wynikającą znajomość stosunków naszych, nie znalazło się więcej uczciwych i rozsądnych Niemców, demaskujących robotę podłych gadzin i wstrętnych lizuniów.

Z Hanoweru nadesłano nam uczciwy głos prasy niemieckiej, omawiającej śladem naszej prasy stosunki szkolne w Poznańskiem, że szkoły wskutek braku nauczycieli przepełnione są uczącą się dziatwą. W Pawłowie uczy jeden nauczyciel 170 dzieci, a w Starołęce 200 dzieci; w Winiarach, Kiszkowie i innych miejscowościach panują takież stosunki. Gazeta ta, której tytułu życzliwy korespondent zapomniał nam podać, kończy swoje sprawozdanie taką uwagą:

„To są bardzo smutne następstwa przewrotnej polityki przeciwko Polakom, a brak nauczycieli tłomaczy się tem, iż niemieccy nauczyciele z Zachodu nie chcą iść w Poznańskie, zaś dla Polaków są seminarya nauczycielskie w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich prawie zamknięte.“

Takie głosy są wprawdzie sporadyczne w rozhukanych falach namiętności ludzkich, dokumentują jednak, że nie wszyscy zaprzęgli się w jarzmo fanatycznego szowinizmu.

Według doniesień pism poznańskich, to Körber-Metternich dwa bratanki; jeden wywołał strejki rolne, a drugi rzeź galicyjską w 1848 roku. Doniesienie to może być prawdziwem, gdy uprzytomnimy sobie działalność wszystkich „wielkich“ dyplomatów z ostatnich lat, budujących zwykle swój gmach sprytu i rozumu na fundamencie nikczemności. Utarte to ścieżyny....

W rosyjskiem piśmie **„Nowoje Wremja“** czyni korespondent z Warszawy zarzuty dwulicowości pastorom ewangelickim. Na zarzut ten odpowiada pastor Machlejd z Warszawy obszernie i kończy temi słowy:

„Dla wiadomości pana Aleksiejewa powiem o sobie tylko tyle: Języka nie-

mieckiego nauczyłem się znośnie tylko na uniwersytecie. Ród mój osiedlił się w kraju już od pięciu pokoleń; kraj ten jest zrossony potem mojej uczciwej pracy, potem moich rodziców i dziadów — *całą duszą uznaję go za swoją ojczyznę.*"

Tyle pisze pan Machlejd, a kolega jego p. pastor Bursche, o ile go znamy, bez namysłu pod powyższe słowa położy swój podpis. Przy tej sposobności byłoby nie od rzeczy wspomnieć, że mimo ucisku w Kongresówce, mimo prześladowań, rodzą się dusze szlachetne, bo rządy polskie a i obecny naród nie dusił przybyszów paragrafami, nie wydzierał im z gardła czarny kęs chleba, nie tworzył fundusze wywłaszczające, ale otaczał opieką i otacza szacunkiem wszystkich bez różnicy i dlatego zyskuje sprzymierzeńców wiernych.

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Z prowincyi.

(Bezczelność.)

Urbi et orbi! Niech świat cały, niech całe społeczeństwo się dowie, jak to sobie postępuje pracodawca Niemiec z pracobiorcą Polakiem. Pracuję w gałęzi przemysłu, którego właściciele po większej części w stosunku jak 2: 10 są Niemcy i żydzi. Utraciłem miejsce w pewnej znacznej firmie po kilku miesiącach, skoro się przekonano o właściwej mojej narodowości. Nie zważano na akuratną i gorliwą pracę moją. Koniec końcem puszczono mnie jak pannę z tańca. Sprawę oddałem na drogę sądową, a proces się toczy. Tymczasem starając się o dalsze utrzymanie, wyczytałem anons w jednej z gazet niemieckich w Prusach Zachod. Kreślę specyalnie omówioną prośbę resp. wniosek w nader grzecznym tonie, jak to się wogóle w takim razie należy, i jak to każdy dobrze wychowany Polak czyni, i cieszę się w duchu na przychylną odpowiedź. A tu zamiast tej ostatniej, odbieram w tych dniach o zgrozo! na honor mój proszę mi wierzyć — nie wiadomość na karcie pięciofenygowej, że miejsce już zajęte, nie zapytanie o eventualn. bliższych moich stosunkach, nie zażądanie oryginalnych mych świadectw — lecz jeszcze raz mówię o zgrozo! odbieram w zamkniętej kopercie z powrotem moją własną prośbę resp. mój oryginalny wniosek bez wszelkiego *dopisku* czy to inkaustem lub też ołówkiem.

Sądziłem, że może omyłka w biórze ekspedycyi zaszła, i wskutek tego czekałem tydzień cały na inną właściwą odpowiedź — jak to się po ludzku dziać zwykło. Lecz daremne było wyczekiwanie, cóż mam myśleć? Tylko to, że odczytawszy wyraźne nazwisko moje polskie, nie mogła takowego hakatystyczna zaciekłość znieść — i nie uważając mnie może za człowieka, uznała mnie za niegodnego kilku słów jakiejbądź odpowiedzi.

Wszakże to już iście po krzyżacku!... Pytam czy takby sobie kafer afrykański postąpił? nie! Nawet w surowym Eskimosie więcej ludzkości by się odezwało; — a może nawet fanatyczny boxer chiński — uznałby odpowiedź za rzecz słuszną — tylko pruski hakatysta nie!!! Teraz zapytuję was, panowie Niemcy i Prusacy, czy wam na wasze starania o miejsca po dominiach, biórach i fabrykach polskich — którykolwiek z pracodawców polskich — tak pogardliwie odpowiedział lub odpisał?

Pytam was, wy zaciekli hakatyści, czy prawdą nie jest, że tysiące rodaków waszych po ukończeniu rewolucyi z roku 1831-go, tak majątkowo na polskim chlebie porośliście w pierze, iż dziś nasze Księstwo przepełnione jest „Oberamtmanami" i Amtmanami?" Więc wasza osławiona „Humanität" tak czarno się nam dzisiejszemu polskiemu pokoleniu odwdzięcza?! Sławny jest wasz, moi pp. Niemcy, *„Drang nach Osten"*, nawet w ilustracyach po roku 1848. Na taczce z fajką w zębach — przywieźliście waszą chudobę do Polski.

Ojcowie nasi przyjęli was po ludzku, dopomagali wam, dali wam zarobek i chleb — a wy z taką butą i bezgraniczną zapalczywością wobec nas postępujecie! Jest to po ludzku? Dziś tylko tyle wam na ucho powiem, — że Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy...... *Sapienti sat.* (Mądremu dość na słowie).

Więc szanowni Czytelnicy: — Mam w ręku zawód wprawdzie dziś bardzo donośny i zawsze się opłacający — lecz nie praktykowany w polskiem ręku — muszę zatem jakby bez pracy żyć — albo innej branży się chwycić, a tu u nas w Księstwie tak trudno coś osięgnąć z powodu przepełnienia.

Cóż począć? Może pismo powyższe pobudzi kogoś z pp. Czytelników, iż mi przynajmniej wskazówkę poda do pracy na innem polu. Bo czując się młodym, zdrowym, fizycznie silnym, jest mi z drugiej strony nader bolesnem, że szukając pracy, znaleść jej *nie* mogę.

W danym razie Administracya „Pracy" udzielić by raczyła bliższej informacyi co do mej osoby.

Czytelnik „Pracy."

Z Wrześni.

Napozór po tarapatach szkólnych wydaje się każdemu kto do Wrześni przyjeżdża, że u nas jest bardzo cicho i spokojnie. Tego spokoju jednak do miłego pożycia zaliczyć nie mogę, jeżeli hakatyzm dalej nad tem pracuje, ażeby nas czemprędzej wygłodzić i za morze z ognisk rodzicielskich wyrzucić. Od czasu sprowadzenia załogi wojskowej, przybywają Niemcy z prowincyi i zakładają rzemiosła, golarnie, piekarnie i handle wszelkiego rodzaju. Nie dosyć na tem, że od kilku lat niemiecki „Kaufhaus" założyli koloniści, który nietylko Polakom, ale nawet spokojnym kupcom Niemcom zaszkodził, ale nawet od 1go września osiedla się spółka dwóch protektorów niemieckich, którzy przed pół rokiem w „Kaufhauzie" pracowali. Panowie ci nazywają się Rudolf Tomaschewski i Frytz Kamiński. Jak przypuszczają, pochodzą ci panowie z polskich familii. Tomaschewski ma być podobno polskim Mazurem, który przez kilka lat w Księstwie się zgermanizował i uchodzi dzisiaj za dobrego Niemca. Inserat o założeniu interesu podali tylko po niemiecku, bo oni z pewnością tylko o niemieckich odbiorców starać się będą. Polak inseratu niemieckiego nie przeczyta, więc nie będzie wiedział, gdzie ci panowie interes otworzyli. Ponieważ są ci panowie dobrymi Niemcami z polskiemi nazwiskami, to zwracam uwagę Polaków, ażeby sobie dobrze spamiętali, że ci panowie chwilowo tylko dla Niemców interes otwierają. Znam w Wrześni wielki zastęp kupców polskich, którzy mogą każdego dobrze obsłużyć i dawniej chętnie Niemcy od Polaków, a Polacy od Nieców kupowali.

Dzisiaj te stosunki się bardzo zmieniły, bo Niemcy przez swą agitacyą solidarnie tylko od Niemców kupują i jest to tylko przypadkiem, jeżeli który do Polaka wstąpi. Znam kilka polskich firm, które nawet niemieckie dwory potraciły; dwory te zapisały się do „Kaufhauzu."

Polacy, jak dawniej, spijają wódkę w niemieckich szynkach, kupują kawę i pieprz u Niemców. Lecą hurmem do żydów i tam łokciówkę całemi sztukami wynoszą, bo im nie przystoi poprzeć swoich. Jeżeli tak dalej pójdzie, to doczekamy się czasów, że bez hakatyzmu sami się zdemoralizujemy i na naszych domach powiewać będą sztandary naszych wrogów, którzy nas ogłodzić usiłują. Mieszczanin i obywatel dzisiaj już przejrzał, także gospodarz z okolicznych wiosek poczuwa się częściowo, dopiero do obowiązku, tylko robotnik i mniejszy obywatel, ba, nawet dwory lecą do obcych, jakby oczekiwali nasze

zguby i zagłady. Czas wielki upamiętać się w tej krytycznej chwili i ratować nietylko przemysł własny, lecz także narodowość od zguby. Jeżeli się sami finansowo rujnować będziemy, to wtenczas zapóźno będzie wydobyć się z toni, która nas pędzi w przepaść i wieczną zgubę. A zatem kto ma czucie i Boga w sercu, niech pamięta o swoich i stara się utrzymać to, co jeszcze nie jest stracone. Nie czyhajmy na czyją zgubę, uważajmy każdego za bliźniego, bo to nakazuje nam wiara, ale brońmy się od nieprzyjaciół hakatystycznych, którzy całe społeczeństwo polskie do kija żebraczego chcą doprowadzić i nas wypędzić na obce chwasty i wtrącić w przepaść.

W. Kow.

* * *

Petersburg.

14 sierpnia n. st. odbyło się pierwsze przedstawienie „Ogniem i mieczem“ na scenie Ogrodu zoologicznego w Petersburgu. Dwa ostatnie obrazy nie mają nic wspólnego z powieścią: „Przyłączenie Ukrainy do Rosyi“ i „Wielki Reformator Rosyi“. Bądź co bądź przedstawienie to będzie jeszcze jedną cegiełką do popularności Sienkiewicza. Na drugi dzień po przedstawieniu na scenie biblioteki tutejsze nie mogły nastarczyć tej powieści żądnym przeczytaniu jej. W całem przedstawieniu żadnej nienawiści nie ma.

Podczas przedstawienia od udanego pożaru, zaczął się prawdziwy, ogień ugaszono, a publicznosć o tem nie wiedziała wcale.

Nie wiem, czy wiadomo w Poznaniu, że w Petersburgu rządowa fabryka kart sprzedaje karty do gry takie, że czerwień w nich przedstawia Rosyan, dzwonki Polaków, żołędzie Kozaków, a wino Tatarów.

H. K.

(Najserdeczniej dziękujemy za nadesłanie powyższej notatki i prosimy o łaskawą pamięć nadal. — Przyp. Redakcyi.)

KRONIKA.

Przygotowania wśród Niemców na uroczyste przyjęcie swego monarchy w pełnym są toku. Komitet wybrany na zebraniu przedstawicieli różnych władz, krząta się ,i zabiega ażeby iluminacya wieczorna, oraz dekoracya ulic i domów była jak najwspanialszą.

Jedno tylko psuło dotąd harmonią w uprojektowanych świetnościach, a to owa zrozumiała bierność i obojętność polskiej ludności. A wielu zagwożdżonych Niemców niechce pojąć tego, że byłoby ironią iluminować wesołemi światłami te domy i mieszkania polskie, gdzie tyle teraz gości smutku i słusznego żalu!

Arogancya i ślepota owych zagwożdżonych posunęła się w ostatnich dwóch tygodniach tak daleko, iż zapytywano zarządy domów, gmachów i zakładów polskich, jak będą wystrojone i oświetlone 3-go września. W wielu wypadkach podobno wcale niedwuznaczną i jasną dano odprawę, ale — jak słychać nie zabrakło też i takich, którzy nie mieli odwagi okazać, jak czują i myślą.

Zdziwienie niemałe wywołała pogłoska, że dyrekcya Bazaru zdecydowała się popisać świetną iluminacyą. Pogłoska ta wprawdzie była mylną, atoli podług wszelkich przewidywań gmach bazarowy zajaśnieje rzęsistem światłem podczas pobytu monarchy. Dla różnych bowiem gości z Rosyi, Austryi i Anglii najęto tam kilkadziesiąt frontowych pokoi, a ci niezawodnie od współudziału w iluminacyi się nie usuną. Tu i owdzie słychać też, iż kwestya ta wielu polskim obywatelom, z takich lub owakich względów, dużo sprawia kłopotu. Niektórzy podobno dopytują się, wywiadują, a zaklinając się, że o iluminacyi nie myślą, chowają na wszelki wypadek świeczki w szufladach.

Tak oto wygląda obecnie barometr naszych sentymentów narodowych, tak wygląda nasza solidarność i stałość; ciekawa rzecz, jak te zalety i cnoty wyglądać będą dnia 2-go i 3-go września. Oby tylko nie tak, jak się przedstawia dzisiaj odporność i obrona nasza wobec coraz większej zaciekłości Niemców i wzmagającego się bezustannie hakatystycznego bojkotu! Aż strach oto spojrzeć do wnętrza różnych restauracyi i magazynów niemieckich, tak się tam roi od polskiej klienteli; a widok taki tym bardziej razi w chwili, gdy bojkot antypolski, z góry nakazany, organizuje się aż w drobiazgi ku naszej zagładzie. Gdzież poczucie samoobrony, gdzie zmysł samozachowawczy?!

Gorzej jeszcze, bo z brakiem rozumu i moralności pomięszana, prezentuje się słabość nasza w pewnych lokalach wątpliwej kategoryi. Przykro zapisać, że nawet awantury fatalne i szkandale brzydkie nie odwodzą polskich miłośników — dyskretnej zabawy od lokalów niemieckich z damską usługą i —wszelaką uprzejmością. Opowiadają sobie po cichu i głośno, że w pewnym takim zakładzie żeńskich osobliwości przy ul. Bismarcka bawiło przed kilku dniami trzech amatorów polskiej narodowości, z których jeden, fortunat i arystokratycznego nazwiska dziedzic, rozochociwszy się składał w ofierze jednę setkę marek po drugiej, aż nakoniec, gdy rozochocenia było już za dużo, otrzymał razem ze swymi dwoma towarzyszami wyproszenie za drzwi. Niewiem, czy przynajmniej po awanturze doszli owi panowie do równowagi duchowej, czy uczuli w sobie coś w guście obrażonej ambicyi, czy choć na chwilę zrodziła się w ich wnętrzu chęć unikania kompromitujących zabaw i skandalów w niemieckich tynglach — ale niestety wątpić należy o trwałem roztrzeźwieniu.

A przecież właśnie dlatego, że Niemcy dziś z taką pasyą i zawziętością zohydzać nas i w pogardę podawać usiłują, mamy obowiązek czuwać nad godnością, taktem i równowagą, a unikać awantur. Dlatego też tak przykrym był niedawny szkandal w Domu Katolickim, gdy skutkiem niebaczności gospodarza lokalów dwa towarzystwa o jednej godzinie się zeszły w sali, ażeby odbyć swoje posiedzenia. Powstała zwada, kłótnia i prawie już bójka, jedno towarzystwo polskie drugiemu nie chciało ustąpić miejsca, aż wreszcie przywołana policya wyprosiła obydwa.

Już drugi tydzień zajście to jest przedmiotem rozmów i uwag różnych, a każdy rozważny i bezstronny pyta, dlaczego w zarządach tych towarzystw nie znaleźli się tacy, którzyby bez zarekwirowania policyi, postarali się o zgodę i porozumienie i bardziej po bratersku, w imię wspólnej polskiej sprawy zatarg załatwili.

I któż z krewkich szermierzy-przeciwników ma dzisiaj satysfakcyą, że nie ustąpił, któż jest zadowolony z przebiegu? Czyżby z nich nikt nie żałował, że polska waśń się zakończyła z pomocą pruskiej władzy?

Alius.

Szanownym Czytelnikom, mianowicie ***z okolicy Wrześni, Miłosławia, Żerkowa i Pogorzelicy*** *zwracamy uwagę na ogłoszenie, zamieszczone na pierwszej stronie „Pracy“* ***a dotyczące parcelacyi wsi rycerskiej Nowawieś pod Pogorzelicą, p. Oskara Freytag.***

Niech każdy z Szanownych Czytelników zechce zwrócić uwagę gospodarzom tamtejszym na nadarzającą się okazyą korzystnego nabycia kawału ziemi i to jeszcze z rąk niemieckich.

Przemysł w Turkiestanie.

(Do illustracyi.)

Ludność Turkiestanu niemal to wszystko, co jej potrzebne jest w życiu codziennem przygotowywa sama sobie. Jednakże wszystkie gałęzie przemysłu mają bardzo skromne rozmiary, zatrudniając małą ilość robotników, używających do pracy narzędzi wielce pierwotnych. Rzemieślnicy nie posiadają oddzielnych pracowni, lecz każdy zajmuje się wyrobem danych przedmiotów wprost na placu targowym, gdzie też towar swój zbywa. Wszystko niemal wyrabiają z własnych produktów surowych,



Dzbanek z przyozdobieniem wykuwanem.

prócz części metalicznych, a przy wyrobie zwracają uwagę na zadość uczynienie tylko wymaganiom ludności miejscowej.

Wykwalifikowanych rzemieślników jest tam bardzo mało, to też mają oni byt zapewniony i prowadzą życie wygodniejsze, aniżeli np. rolnicy.

W celu bliższego zapoznania się z przemysłem tamtejszym, przyjrzyjmy się ważniejszym jego gałęziom:

Pierwsze miejsce zajmuje w przemyśle jedwabnictwo, którem się trudni większa część ludności Turkiestanu, ku czemu też wielce sprzyja odpowiedni klimat tego kraju. Na równinach przez całe lato panuje ciepło, jednostajna temperatura, bez deszczu, burz i huraganów, wskutek czego nie potrzeba jakiegokolwiek zabezpieczenia się od chłodu. Prócz tego drzewa morwowe rosną szybko i w każdym zakątku kraju.

Jedwabnictwem przeważnie zajmują się kobiety. W czasie zimy przechowują jajeczka jedwabnic w woreczkach płóciennych, zawieszonych u sufitu, a z nadejściem cieplejszej pory, kobiety przywiązują sobie woreczki z jajkami pod pachą lub do bioder i w ten sposób, wskutek ciepła, jedwabnice po siedmiu dniach się wylęgają. Młode gąsienice układają na półmisku, nakrytym czystem płótnem i ustawiają na słońcu, chroniąc jednakże od bezpośredniego wpływu promieni słonecznych. Po kilku dniach przesadzają gąsiennice do skrzynek ustawionych na nóżkach w wodzie, by ochronić je od mrówek. Do skrzynek wrzucają trzy razy dziennie pokarm, dopóki gąsiennice się nie oprzędą, co zwykle następuje po 50 — 70 dniach. Z pomiędzy zebranych kokonów wybierają najpiękniejsze, by samice mogły się z nich wylądz i złożyć jajka, resztę zaś wystawiają na słońce, w celu zabicia siedzących w nich jedwabnic.

Jedwab turkiestański ma zazwyczaj piękny kolor żółty, chociaż zdarzają się i kokony koloru szarego lub różowego. Podobno turkiestański jedwab lepszy jest nawet od japońskiego, lecz cena tego ostatniego jest wyższa, ponieważ turkiestańczycy nie odróżniają gatunków, mieszając lepszy z gorszym. Dotąd nie można było dokładnie obliczyć produkcyi rocznej, ale przypuszczalnie wynosi ona około 15 milionów rubli. Funt jedwabiu otrzymuje się z ośmiu funtów kokonów i kosztuje około trzech rubli.

Jak korzystną jest ta gałąź przemysłu, można wnioskować z tego, że z dwóch zołotników jajeczek, kosztujących 60 kop. otrzymać można pud kokonów, za który płacą 12 rubli. Do wyżywienia tej ilości jedwabnic potrzeba liści z siedmiu drzew morwowych.

W chwili, gdy Turkiestan stał się dostępnym dla Europejczyków, na-



Srebrna sprzączka do paska.

tychmiast napłynęły tam masy spekulantów w celu eksploatacyi jedwabnictwa. W r. 1870 z Turkiestanu wywieziono około 4000 pudów jajeczek. Naturalnie, taki rabunkowy wywóz groził upadkiem tej gałęzi przemysłu, przeto, na prośbę generała Kaufmana, wyszedł rozkaz wzbraniający zupełnie wywozu jajeczek jedwabniczych.

Kokony po wysuszeniu rzucają na wrzącą wodę i mieszają patyczkami drewnianemi, by końce jedwabiu oddzieliły się od całości. Następnie już przyczepiwszy końce nitek do motowidła, zwijają jedwab w wielki kłębek.

Farbowaniem jedwabiu trudnią się przeważnie żydzi, którzy skupują zwinięty jedwab i farbują na kolor czerwony, niebieski lub żółty, używając do tego indyga, groszku japońskiego (sophora japonica), mareny lub koszenili. Farbiarze sprzedają jedwab tkaczom, szmuklerzom lub osobom, specyalnie trudniącym się wyszywaniem. Temu ostatniemu zajęciu oddają się kobiety i mężczyźni. A zauważyć należy, że mieszkańcy tamtejsi wyszywają nieomal wszystko jedwa-



Dzbanek artystycznie rzeźbiony.

biem: woreczki czapeczki, chusteczki, ręczniki, serwety, prześcieradła, spodnie skórzane, dywany i t. p. przedmioty, a wyszywają w tak gęste desenie, że częstokroć trudno rozpoznać na jakim materyale dokonano wyszycia.

Tkanie materyi jedwabnych stanowi w Turkiestanie przemysł domowy. Tubylcy tkają na warsztatach bardzo pierwotnych, to też materyały wyrabiane są w rozmiarach nader skromnych; tkanina niema nigdy szerokości więcej nad 10—12 cali, a długość wynosi zwykle 2—3 łokci. Są to jednakże tkaniny nader trwałe i zachowujące długo piękny połysk.

Drugą z kolei gałęzią przemysłu w Turkiestanie, są wyroby bawełniane. Bawełna turkiestańska ma krótkie włókna, wskutek czego trudno ją oddzielać od nasienia, lecz wynaleziono tam odrębny sposób zbierania puchu bawełnianego. W każdym jednak razie oddzielanie bawełny od nasienia jest tak zmudne, że robotnik zajęty tą pracą nie może zarobić dziennie więcej jak pięć kopiejek. Dziennie oczy-

ścić on może zaledwie 10—12 funtów bawełny. Robotnicy za swą pracę otrzymują zarobek w połowie gotowizną, a resztę nasieniem bawełny, z którego wytłacza się olej. Oczyszczoną bawełnę przeważnie wysyłają do Rosyi europejskiej, resztę zaś pozostawiają na miejscu i tu używają jako watę na kołdry, poduszki i ciepłe szlafroki. Niektórzy przędą nici z tej waty, a następnie gdziekolwiek na ulicy, na dwóch kołkach w ziemię wbitych zwijają w pasma. Z tych nici bawełnianych tkacze na ulicy wyrabiają płótno, ale również na warsztatach pierwotnych, na których najlepszy robotnik nie może więcej jak 3—4 łokci płótna wyrobić dziennie, chociaż szerokość wynosi zaledwie pół łokcia. Robotnik taki zarabia 20 kopiejek dziennie.

Wszelkie tkaniny bawełniane dzielą się na trzy gatunki, zależnie od grubości i używają ich albo na podszewki do ubrań lepszych, albo też na ubranie dla uboższej klasy ludności. Czasem bawełnę przerabiają razem z jedwabiem i tkaninę taką nazywają „adraś‟ prasując ją z białkiem, by miała wygląd materyi jedwabnej. Materyę taką używają na serwety i przybranie głowy.

Skórnicy tamtejsi obrabiają dość pierwotnie skóry, przeważnie owcze i lisie. Ze skór owczych wyrabiają czapki i kożuchy dla najuboższych. Kożuchy te krajane są na wzór naszych kapot włościańskich i nie są niczem kryte. Zamożniejsi noszą palta, podbite futrem lisiem, ku czemu zużytkowują same grzbiety; części skór z brzucha i łap używają do podbicia palt tańszych. Obrabiają też i skóry droższe, jak np. wydry, ale rzadko; futro z wydry używane jest tylko na czapki i kołnierze.

Do bardzo ważnych gałęzi przemysłu zalicza się też tam wyrób dywanów, a to dlatego, że w życiu domowem krajowców dywan gra ważną rolę. Dywany wyrabiane tam są z sierści owczej i wielbłądziej. Odróżniają oni trzy gatunki dywanów. Najlichszy gatunek jest zszywany z wązkich pasów. Dywany takie są najczęściej w paski kolorowe lub z wzorem nader prostym; są one tanie, ale nie trwałe. Drugi gatunek stanowią dywany bucharskie, najtrwalsze, przygotowywane głównie w Bucharze. Są to dywany długie i szerokie, z jednej sztuki utkane i zawsze w pasy białe, czerwone niebieskie i żółte. Zamożni tymi dywanami wyścielają podłogi. Najdroższe zaś dywany są turkiestańskie. Wyrobem ich zajmują się turkmeni. Są to dywany pluszowe, zwykle 4 lub 5 i pół łokci długości, a 2 łokcie szerokości mające. Wyrabiane są z przędzy wełnianej czerwonej, żółtej i niebieskiej. W środku jest zwykle czworobok z deseniem, różnym od umieszczonego w obramowaniu. Najczęściej deseń składa się z kwiatów i arabesek. Dywany turkiestańskie zupełnie podobne są do tak modnych dywanów perskich.



Kolczyk srebrny.

Wyrobem wojłoków mieszkańcy miast zajmują się stosunkowo mało, a wyroby te nie mogą konkurować dobrocią z wyrobami kirgizów. Są one piękniejsze, niby lepiej obrabiane, ale bez porównania słabsze od kirgizkich.

Sukno mieszkańcy Turkiestanu wyrabiają tylko w najlichszym gatunku; grube ono i używane jest tylko na spodnie i kaftany przez lud roboczy.



Bransolety srebrne.

Powroźnicy mają tu wiele zajęcia, ponieważ sznurów krajowcy spotrzebowują wiele do umocowywania szałasów, do obwiązywania towarów, na uździenice dla koni i t. p. Sznury kręcą wyłącznie z bawełny, sierści wielbłądziej i włosów końskich. Lnu i konopi nie znają, wskutek tego też powrozy turkiestańskie są słabe i nietrwałe.

Bieliznę i odzież codzienną mieszkańcy ubożsi przygotowują sobie sami. Zajmują się tem kobiety, a tylko odzież dla zamożniejszych przygotowują krawcy, których rzemiosło nie wymaga zbyt wielkiej znajomości tej sztuki. Ubrania tam nikt nie zszywa według miary, a tylko uważa, czy mężczyzna jest chudy lub tłusty, wysoki, czy bardzo nizki. Mody nie istnieją tam wcale, a ubrania kupują się zawsze gotowe na rynku. Każką część ubrania robi specyalista, nie podejmując się wykonania innej części odzieży.

Są też specyaliści, którzy zajmują się wyrobem, tak zwanych „burdiuków‟, czyli worków skórzanych. Worki te wyrabiane są ze skór owczych i kozich. W nich przewożą krajowcy wodę i one też służą do przeprawy przez rzeki, podobnie jak naszym pływakom pęcherze. Chcąc mieć burdiuk, należy skórę z owcy ściągnąć od ogona tak, aby następnie nie robić szwów. Nacięcia na szyi i łapkach zawiązują mocno sznurkiem wówczas, gdy skóra jest jeszcze świeża.

Szewcy również są wyspecyalizowani, podobnie jak krawcy. Jedni wyrabiają trzewiki, inni buty, jeszcze inni pantofle. Prócz tego jedni zajmują się tylko krajaniem, a inni szyciem. Są i tacy, którzy wyłącznie zajmują się tylko reperacyą i ci stanowią proletaryat szewcki. Obuwie również tak samo jak i odzież nie robi się na miarę, ani obstalunek, lecz kupujący bierze takie, jakie włożyć może na nogę. To też mieszkańcy Turkiestanu nie mają pojęcia o odciskach. Nadto obuwie jest tak trwałe, że najmniej nosi się dwa lata jedną parę bez reperacyi. Zależne to jest od dobrego wykonania roboty, ale i w lwiej części od tego, że bydło tamtejsze cały rok przebywa na powietrzu, więc też i skóra jego jest trwalsza.

Rymarze tamtejsi wyrabiają prócz ubrania na konie, walizy, torby podróżne, kufry drewniane i t. p., ale również praca jest podzielona pomiędzy specyalistów.

Że przemysł artystyczny mianowicie wyrób bižuteryi, także kwitnie, w Turkiestanie, o tem świadczą zamieszczone ryciny. *Z.*

Pocieszenie narodów.

Słuchajcie wy mię, o! sprawiedliwi!
Wy, co strzeżecie dróg Pana.

Prześladowani, a jednak żywi,
Słuchajcie głosu kapłana!

Pojrzyjcie oto na Abrahama,
Na ludu waszego zaród,
Jak ręka Boża wiodła was sama,
Jak Pan rozmnożył was w naród.

On znów uczyni w Sionie radość,
Pustynie zrobi ogrodem,
Śpiewów wesela będzie w nim zadość—
Pan znów ze swoim narodem!

Oto Pan mówi: „Pilnuj mię ludu!
Tyś lud mój, moja rodzina!
Słuchajcie, oto bliski dzień cudu,
Sądu się zbliża godzina.

Podnieście oczy, w niebo, do góry!
Spojrzycie na ziemię, na dół!
Niebo zniszczeje jak dymu chmury,
Ziemi rozsypie się padół.

I wszelki ziemski naród zaginie.
I słońca zgasną promienie,
Lecz sprawiedliwość moja nie minie,
Trwa wiecznie moje zbawienie.“

Więc ty narodzie czystego serca,
Ty, któryś zakon strzegł Boży —
Darmo urąga tobie szyderca,
Niech cię złość wroga nie trwoży.

Jak wiotką szatę pożrą je mole,
Robak je zgryzie jak wełnę,
Ale na wieki Ja cię wyzwolę —
Zbawienie twoje zupełne!

Więc się już ocuć, o! Pańskie ramię!
Uzbrój się w siłę jak zdawna!
I jako Egipt złamałeś, złam je!
Niech będzie twoja moc jawna.

Azaż nie twoje ramię, to, Boże!
Głębokość fali rozwarło?
I sucho lud swój wiodło przez morze,
A nieprzyjaciół podarło?

Niech się pocieszą, niech się nie smucą!
Niech trapią tęsknem wzdychaniem!
Niech do Sionu radości wrócą,
Z wesołym śpiewem i graniem!

Takiem wzywałem Pana modleniem,
A Ty mi odrzekłeś Boże:
„Ja cię otoczę ręki mej cieniem,
Me słowa w usta ci włożę.

Jam jest Stworzyciel, obrońca dzielny,
Ja was wywiodę i zbawię!
Przez ciebie człowiek straszy śmietelny
Który podobny jest trawie?

Oto przezemnie dostąpią chwały,
Płaczący w Jerozolimie;
Ja dzielę morza szumiące wały,
A Pan zastępów me imię“.

Ocuć się, ocuć, grodzie mój święty!
Jerozolimo ty moja!
Do dna ty piłaś gniewów mych męty
Z trucizny śmiertelnej zdroja.

Kto cię pocieszał, gdy nad twym grodem
Dzikością wróg się rozszalał?
O! spustoszona mieczem i głodem!
Kto się nad tobą użalał?

Po rogach ulic twoi synowie
Legli omdleli na siłach,
Dymy nad tobą, w tobie pustkowie,
Twoi obrońcy w mogiłach!

A teraz słuchaj, o utrapiona!
Pijana, ale nie winem!
Pan cię zasłania — w Panu obrona,
Bóg ci zbawieniem jedynem!

Biorę od ust twych, odejmę z ręki
Zapalczywości mej czarę,
Męty trucizny, kubek tej męki,
Z którego piłaś nad miarę....

Adam Pajgert.

Z chwili.



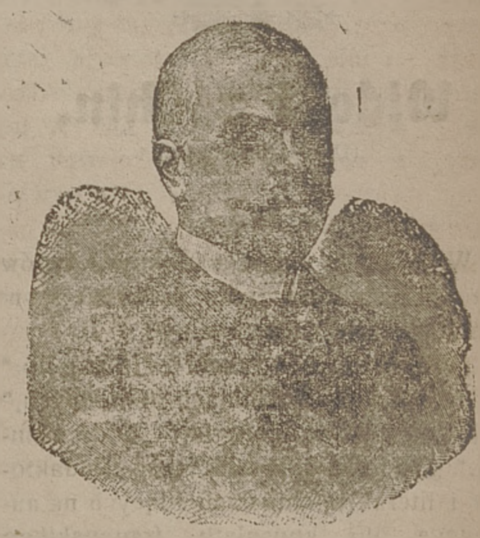
Hr. Bülow,
kanclerz niemiecki, jeden z „naszych najserdeczniejszych“, który z wielkiej ku nam miłości nazwał nas „królikami“ a swych ziomków „zającami.“

—ski.

Sprawca strejków rolnych
w Galicyi.
(Do illustracyi.)

Z Wiednia donoszą z źródła dobrze poinformowanego, że sprawcą strejków rolnych w Galicyi jest nie kto inny, jak kokietujący z Polakami obecny prezes gabinetu austryackiego, dr. Koerber, najniebezpieczniejszy podobno dla Polaków ze wszystkich dotychczasowych kierowników rządu austryackiego. Prezes Koła polskiego w Wiedniu, ekscelencya Jaworski, posiada za mało energii, stanowczości w występowaniu wobec rządu, a jako polityk dawnej daty, nie ma nawet należytego poglądu na obecnie zupełnie pogmatwane stosunki wewnętrzne w Austryi. Pan Koerber omotał prezesa Koła i słabość jego wyzyskuje dla swoich niemieckich celów.

Niezadowolenie Rusinów jest sztucznie rozdmuchiwane przez czynniki zakulisowe niemieckie a nagła zmiana frontu takich Rusinów jak Barwiński, którzy wystosowali do Wiednia żądanie, żeby przysłał do nich urzędników nie-



Prezes ministrów austryackich Körber.

mieckich, dowodzi, że to była „zamówiona robota.“ Panu Koerberowi robota radykałów i socyalistów rusińskich bardzo jest na rękę, bo sądzi, że to jest pięta achillesowa Koła polskiego i Polaków galicyjskich. Przez rozogniame kwestyi rusińskiej — tak rozumują w rządzie centralnym — trzyma się Polaków w szachu i nie dopuści do nowej koalicyi prawicy, a przedewszystkiem do odnowienia przymierza polsko-czeskiego. Że w tej zakulisowej robocie czuć także wpływy dyplomacyi berlińskiej, nie potrzeba osobno udowadniać. Austrya jest niby sprzymierzeńcem Prus-Niemiec, w gruncie rzeczy jednak dzięki słabości swego rządu zniża się coraz więcej do poziomu wasala Niemiec.

— ski.

Tęskno mi....

Tęskno mi do was, wy prześnione lata,
Żal mi serdeczny waszych rojeń, snów;
Blasków opadła z was tęczowa szata,
Wstaniesz że kiedy taka cudna znów?

Tęskno mi, tęskno do tych strojnych w kwiaty,
W zieleń przybranych mych rodzinnych stron,
Dzieckiem gdziem biegał niedawnemi laty,
Gdzie kołysanki usypiał mię ton.

Tęskno za licem nieba tem przeźroczem,
Co mi się śmiało blaskiem rannych zórz,
Gdy je witały me dziecięce oczy
Łzawe, choć życia nieznające burz.

Tęskno mi do tych w bezkres rozpostartych
Łanów ojczystych, złotych zboża fal,
Do pochylonych strzech wichurą zdartych,
Nędznych, a których tak mi żal, ach żal!

Tęskno za wzgórkiem, kędy pod lipami
W blaskach słonecznych chylił czoła lud
Szepcząc w pokorze: „Zmiłuj się nad nami!
„Pracy błogosław, osłódź życia trud!“

Tęskno mi nocy za twą jasną ciszą,
Gdy nad łąkami srebrne płyną mgły;
A na wód fali blaski się kołyszą
Złote, miesięczne.... Gdzieś ty, piękna ty?...

Lwów w sierpniu 1902.

Eugeniusz Kucharski.

Widoki z Chin.

(Do illustracyi.)

IV.

W dalszym ciągu widoków i typów chińskich zamieszczamy w dzisiejszym numerze następujące ryciny:

„Widok z nad rzeki Ho-ang-ho," „Miasto Kałgan w Chinach północnych," „Główną ulicę w Sjang-fu," „Łódź chińską," „Na łodzi chińskiej" oraz „Redaktorów i literatów chińskich idących na audyencyę do konsulatu francuskiego w Pekinie."

Zamieszczając podobizny naszych kolegów z nad morza Żółtego, zainteresujemy z pewnością Szanownych Czytelników, gdy skreślimy słów kilka o chińskiem dziennikarstwie.

Otóż, gdy wszystko wewnątrz muru chińskiego okrywa pleśń stuleci, i dziennikarstwo dożyło tam w swej nieruchomości sędziwego wieku. „Gazeta pekińska" jest też bez wątpienia najstarszą na świecie. Powstała ona jeszcze za panowania dynastyi Sung w X-ym wieku po Chr. i mniej więcej w jednakiej formie przetrwała do czasów dzisiejszych. Nie jest to właściwie organ urzędowy, lecz pozostaje pod opieką rządu cesarskiego i ogłasza przedewszystkiem edykty. „Gazeta pekińska" pojawia się codziennie i znajduje licznych czytelników wśród wyższych sfer chińskich, to jest umiejących czytać. Na prowincyi mnóstwo pisarzy znajduje w tem zarobek, że dla osób, które nie chcą lub nie mogą nabywać codziennie wydawnictwa, robi wyciągi za pewien okres czasu. Gazeta rocznie kosztuje 6 dolarów. Drukują ją za pomocą ruchomych drewnianych czcionek (miłe wspomnienie w okresie jubileuszowym czasów Gutenberga!...) na 10—12 arkusikach brunatnego papieru, razem zeszytych. Czerwone linie dzielą



Łódź chińska.

kolumny na siedem szpalt, a w każdej pionowo znajduje się 14 znaków. Gazeta jest wielce ciekawa z tego powodu, że prezentuje mandarynów z wszelkiego rodzaju guzikami w ich całej okazałości. Tak w numerze z d. 4 stycznia 1897 r. wymieniono aż 10 wypadków mniej więcej grubych nadużyć tych dostojników. Jeden np. mandaryn-jenerał wykazywał na papierze całą armię nieistniejącą, aby do własnej kieszeni chować żołd i pieniądze na umundurowanie. Tenże jenerał „zeskamotował" komisarza cywilnego, który przybył na śledztwo. Komisarz więcej nie wrócił. Inny mandaryn, naczelnik straży, wysłanej przeciw rozbójnikom, sam rozbijał z bandą na spółkę. Inny jeszcze handlował karabinami swego wojska itd. Cesarz uznał, że mandaryni postępują „niegodnie" i wykreślił ich z listy. To była cała kara.

Oprócz tej staruszki półurzędowej, w Chinach wychodzi jeszcze sporo innych gazet, ale już nie w Pekinie, lecz w Szanghaju, i innych portach traktatowych, w celu oczywiście uniknięcia prześladowania od mandarynów, którym się wypadkiem narażono. W tej również myśli wydawcy opłacają Europejczyka, który uchodzi za odpowiedzialnego redaktora. Gazety te drukuje się w dzielnicy europejskiej i często z udziałem cudzoziemców.

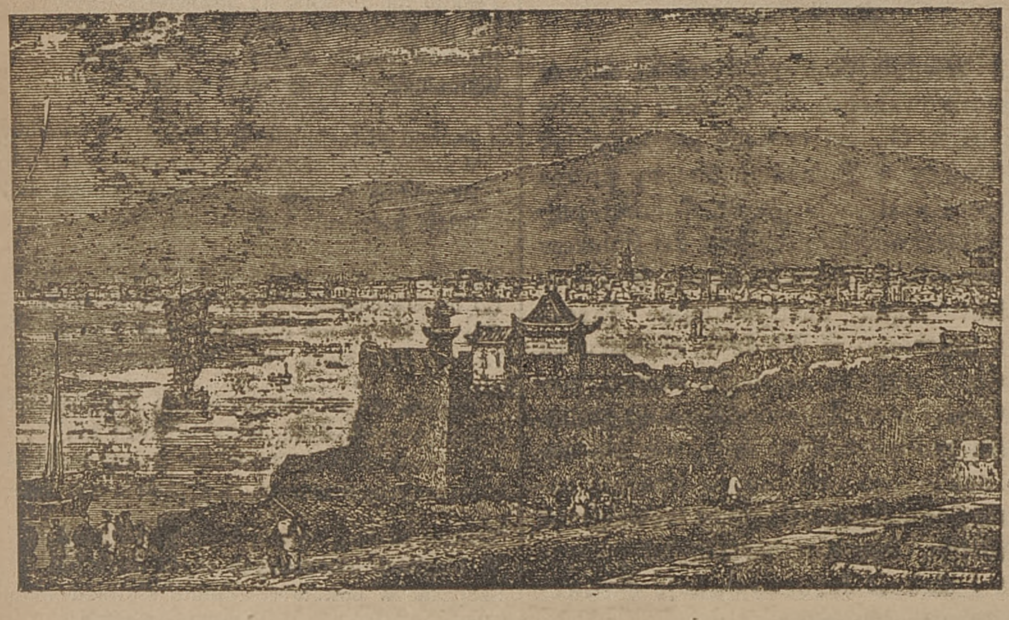
Tej prasie „niezależnej" miejscowej poświęca Anglik Colguehoun oddzielny artykuł w dziele swem „The Transformation of China". Tutaj wkraczamy w czasy nowsze, najstarsza bowiem z gazet niezależnych powstała nie dawniej, jak 40 lat temu. W ostatnich jednak latach, zwłaszcza od czasu wojny chińsko-japońskiej, liczba dzienników chińskich wzrosła niezmiernie. Na czele tego szeregu idzie Szeu-Pao („Gazeta szanghajska"), która bez wątpienia odgrywała bardzo ważną rolę w cywilizowaniu Chin. Założona w r. 1870-ym,



Na łodzi chińskiej.

wzięła ona sobie za zadanie odsłaniać wszelakie nadużycia mandarynów i urzędników chińskich i, poddając jawności rozporządzenia różnych królików chińskich, doprowadzała nawet do tego, że ją z Pekinu kasowano. Szczególną walkę prowadziła ona z systemem tortur, uprawianych w Chinach. Nieraz też usiłowano istnienie gazety podkopać lub ją nawet zamknąć. Gdy jeden z mandarynów nalegał na księcia Kunga, niegdyś prezydenta Tsung-li-Jamenu, aby wystąpił ostro przeciw gazecie, książę zwracał uwagę, iż dziennik wychodzi pod osłoną flagi cudzoziemskiej, a w końcu dodał charakterystyczną uwagę: „Zresztą my ją chętnie czytujemy i w Pekinie". Jakoż podobno cesarzowa-wdowa nieraz ją czytywała w swym pałacu.

Te dwa typy gazet: „Gazeta pekińska" i „Gazeta szanghajska" przedstawiają niejako dwa dominujące organy publiczne 400-milionowego narodu, a jednocześnie reprezentują tradycyę przeszłości i teraźniejszość, mającą pewne aspiracye do reform, chociaż bardzo skromnę i nieokreślone. *—ski.*



Widok z nad rzeki Ho-ang-ho.



Redaktorzy i literaci chińscy idący na audyencyę do konsulata francuzkiego w Pekinie.

Z tajemnic świata zagrobowego.

VI.

Książę i księżna Radziwiłłowie przyjęli do siebie jednę ze swych krewnych, hrabiankę Agnieszkę Lanckorońską, która wraz z ich dziećmi wychowywała się w jednym z zamków w Galicyi. Chcąc przejść z głównych apartamentów zamku do części, w której zamieszkiwały dzieci, koniecznie należało przechodzić przez wielką salę, zajmującą środek gmachu.

Hrabianka Agnieszka, licząca wówczas lat pięć, zawsze bardzo krzyczała, gdy musiała przechodzić przez drzwi wielkiej sali, wychodzące do pokojów książęcych. Później, gdy już dobrze mówić umiała, tłomacząc się z swego dziwnego zachowania, przelękniona, wskazywała wielki obraz, wiszący nadedrzwiami przedstawiający jakąś młodą kobietę. Wszelkie usiłowania, skierowane ku temu, aby ją oswoić z tym obrazem, spełzały na niczem; wpadała ona w konwulsye, skoro weszła do sali, a ponieważ krewni nie chcieli sprawiać jej przykrości i jednocześnie nie chcieli usunąć pięknego obrazu pędzla Tycyana, hrabiankę przenoszono zwykle przez taras ogrodowy, z jednej części zamku do drugiej. Tak postępowano z górą lat trzynaście, a wszyscy przyjaciele Radziwiłłów wiedzieli o tem.

Młoda panienka została z czasem pięknością, a w krótce znalazła narzeczonego — księcia Wiśniowieckiego.

W czasie świąt Bożego Narodzena, w zamku znajdowało się kilkudziesięciu panów, pań, panien i kawalerów. Młodzież miała ochotę zabawić się w wielkiej sali zamkowej; po raz pierwszy w swem życiu cudnej urody hrabianką nie okazywała żadnej bojaźni; książę Radziwiłł po cichu zrobił nawet uwagę, że nareszcie przyszła do rozumu, a księżna dodała, że śmiałość jej pochodzi zapewne ztąd, iż za kilka dni pójdzie za mąż, i że lękała się obrazić wuja, nie chcąc wejść do sali, gdzie odbyć się miało jej wesele. Wreszcie łagodna i dobra Agnieszka postanowiła przezwyciężyć swój wstręt, przepuszczono ją pierwszą, jako narzeczoną księcia ze krwi Jagiellonów. Ale gdy przyszła do drzwi, znowu strwożyła się, nie śmiała wejść; wuj ją upominał, krewni i narzeczony żartowali z niej; chwyciła się za drzwi, popchnięto ją naprzód, zamknięto za nią drzwi, aby wyjść nie mogła. W tej chwili usłyszano jęki i błagania, aby drzwi otworzono, bo jak mówiła, życie jej jest w niebezpieczeństwie, że niezawodnie umrze. Potem usłyszano straszny łoskot i za chwilę już zupełną ciszę.

Skutkiem wstrząśnienia drzwi, nieszczęsny obraz zerwał się z zawieszenia i spadł z ciężkiemi ramami; jedna z ozdób korony Radziwiłłów, żelażna pozłacana, wbiła się w głowę hrabianki i położyła ją trupem na miejscu.

* * *

We wsi Wierzchy, w powiecie sieradzkim, byliśmy zebrani wieczorem we dworze, a dla zabicia czasu graliśmy w karty w salonie, w którym stał w oszklonej szafie staroświecki zegar. Czasomierza tego nie podejmował się zreparować żaden z zegarmistrzów, zamieszkałych na prowincyi, nie chodził on też od lat kilkudziesięciu wcale. Nadmienić muszę, że zegar był systemu wagowego, lecz wagi były odjęte; każda ważyła kilkanaście funtów.

W tymże dworze od lat dwóch leżała chora na uwiąd starczy matka właściciela folwarku, posiadająca oddzielny pokój, dokąd noszono jej pokarm i lekarstwa.

Naraz podczas gry, sześć zebranych osób w sali usłyszało cztery uderzenia wyżej opisanego zegara. Zdumieliśmy wszyscy; wstano od stolika, złożono karty, a po chwili właściciel domu tknięty przeczuciem poszedł do pokoju matki. Zastał stygnące jej zwłoki. Wszelkie następnie próby, aby zegar jeszcze uderzył godzinę, pozostały daremne. Zapewniano nas, że szafka zegarowa, zamykana na klucz, co najmniej od lat dziesięciu otwieraną nie była.

Z.

ŻYCIE.

Życie człowiecze, to uczuć gra święta,
Najrozmaitsza krynica uroków,
Niby baśń jaka, powiastka zaklęta;
Jak świat tajemnic w otchłani obłoków.

Coś jakby szczęście dźwięczy w jego łonie
Tysiącznem echem płynąc w dal błękitu,
Tysiące pragnień w jego treści płonie,
Rwąc się z niziny do niebiosów szczytu.

Obok rozkoszy znajdziesz toń rozpaczy,
Przy boku pieśni najczarniejszą prozę,
Tu biedny młodzian o szczęściu majaczy,
Tam ktoś morderstwem życia kończy grozę.

* * *

Z dziecka młodzieniec wyrasta uroczy;
Świat mu zagadką, przyszłą szczęścia niwą,
Śmiało i dumnie w nowe tory kroczy,
Ufny w swą przyszłość wielką i szczęśliwą.



Miasto Kalgan w Chinach północnych.

Wzniosłe marzenia pierś młodzieńczą tłoczą,
Serce do nowych rwie się ideałów,
Siła mu szczęścia zwiastunką proroczą,
Łodzią wśród życia wód spienionych wałów.

On marzy, kocha, cóż mu więcej trzeba,
Świat go uwieńczy, — miłością szczęśliwy
Zazna na ziemi wszechrozkoszy nieba,
I szczęśliw będzie aż li do mogiły.

* * *

Młodzieńca skronie szron przyprószył biały;
Zmarszczki mu wzniosłe pobróździły czoło,
Prysły marzenia wśród cierpień nawały, —
Gdzie szukał kwiatów — tam ciernie w około.

Gdzie chciał miłości, tam wzgardę mu dano,
Wichry mu wiotką barkę poszarpały,
Pragnął rozkoszy — cierpieć mu kazano,
Ludzie wygnali, świat nim wzgardził cały.

Wśród jarzma pracy skostniały mu dłonie,
Wichry bróżdami zorały mu czoło,
Śniegi siwizny pokryły mu skronie;
Wszystko mu obce i wrogie wokoło.

* * *

U progu śmierci słaby i zbolały
Stoi tak dumny ongi syn marzenia,
Więc to jest życie; więc to świat ten cały;
Niema w nim nicma więcej krom cierpienia?

Nic krom snów złotych, krom wzniosłych na-
[dziei,
A potem bóle tylko i cierpienia,
Czyż wszystko więdnie wśród życia zawiei,
Czyż wszystko pada pod kosą zniszczenia?

Czyż to jedynem zadaniem ludzkości
W błogich marzeniach w dalekie mknąć
[światy,
By potem strącon w otchłanie nicości
Skonać na wieki na łonie zatraty?

* * *

Kto umiał pojąć zadanie żywota,
Kto treść zrozumiał wzniosłych pieni wieczności,
Tego nie zdoła złamać nieszczęść słota,
Ten nie upadnie pod tchnieniem nicości.

Cel jego wielki ideji świętością,
Trudy mu bodźcem do wytrwalszej pracy,
Prysną zapory przed jego wielkością,
I świat go uzna — uwielbią rodacy.

Lecz kto li tylko gna za rozkoszami,
Bez celów wyższych błądząc pośród świata,
Ten najmniejszemi zgięt przeciwnościami
Zaginie w morzu imieniem — zatrata.

J. Koraszewski.

Babska siła.

(OBRAZEK.)

Dziwowisko było wielkie w Lipinkach i gadania nie mało po chałupach, gdy ludzie, co byli w niedzielę na sumie w parafii, przynieśli do wsi nowinę, że Magdusia Tajdusianka wychodzi za mąż za Wojtka Rypałę. Bo Wojtka znano z tego, że sobie nijak nie mógł dobrać żony do maści, choć dwa razy je odmieniał sobie w ciągu niespełna pięciu roków.

Pierwsza z nich Ulina zdawała się, że będzie najlepiej pasować do niego, bo była rosła, jak on, silna, jak on i równie urodziwa na gębie, szeroka w barach i biodrach, że każdy, co ich widział tak idących razem, musiał sobie pomyśleć: dobrana para.

A jednak właśnie z powodu tej równości nie mogli jakoś przystać do siebie. On chciał, żeby szło wszystko po jego woli, a ona ufna w swoje kmiece pochodzenie i tych kilkanaście morgów pola, co mu przyniosła w posagu, nie myślała ulegać i robiła tak, jak się jej podobało.

Jego, jako iż był chłop pakaźny i zwiniasty, dziedzic brał chętnie ze sobą, gdzie trzeba było pochwalić się przed światem takim wspaniałym okazem naszego ludu, — brał go, czy to do banderyi Krakusów na przyjęcie ks. Arcybiskupa, czy na festyny różne i obchody narodowe, czy na inne uroczystości. Wojtek stroił się wtedy w bielutką, haftowaną koszulę, świąteczną sukmanę, nabijaną świecącemi centeczkami, przypinał sobie do krakuski pawie piórko na łokieć wysokie, zakręcał po szlachecku wąsa i robił paradę dla uciechy panów, za co nieraz i szampana mu się dostało na takich uroczystszych bankietach i słodkie lody i różne pańskie wymyślne potrawy.

Wojtkowi zasmakowało takie publiczne życie, wciągnął się do niego, zaczął coraz częściej jeździć po takich festynach, wiecach i zgromadzeniach wyborczych, gdzie imponował ludziom siłą, urodą i fantazyą! — a gospodarstwo zostawiał na opiece żony, uważając ją więcej za bydlę robocze, jak za żonę.

Ale Ulina nie była taka głupia, żeby się dać tak łatwo zaprządz do jarzma.

— Wolno tobie — mówiła — wolno i mnie i chodziła sobie swoim dworem z kumoszkami po weselach, po chrzcinach, po jarmarkach, racząc się winem i słodkiemi likierami.

Wojtek próbował babę pięścią przywołać do porządku, roboty i posłuszeństwa, ale że Ulina miała także pięść nie od parady, bo nią sobie w potrzebie i orzechy tłukła nawet na Boże Narodzenie, więc się nie zlękła męża i stawiała mu się bardzo, — a jak jej pięść nie wystarczała, to brała, co miała pod ręką, to polano drzewa, to garnek z warem i broniła się chłopu, że nieraz rajterować przed nią musiał do karczmy, gdzie teraz coraz częściej i coraz dłużej przesiadywał, wciągając się coraz więcej do pijatyki i hulanki.

Małżeńskie ich pożycie zamieniło się z czasem w wojnę domową. On ją walił, ona jego i często w chałupie słychać było swary i kłótnie, szamotanie się po izbie, bijatykę, po której rozchodzili się z siniakami, podbitemi oczami — on do karczmy, a ona z lamentami do kumoszek, z któremi piła na desperę.

Powiadano we wsi, że przy jednej takiej bitce, przy takiem szamotaniu się, coś jej tam odbił we wnętrznościach, a że była w odmiennym stanie, więc jej to zaszkodziło tak, że przy pierwszym połogu umarła z tego i dziecko także. Ale dowodów na to nie było żadnych; więc mu się upiekło jakoś — tyle tylko, że kobiety we wsi brzydko na niego patrzały i między sobą po cichu „zbójem" go nazywały.

On także jakiś czas stronił od ludzi, szczególniej od kobiet, patrzeć na nie nie chciał, mając w pamięci tę jedną, co mu się tak dała we znaki. Ale że bez baby rady sobie dać nie mógł z gospodarstwem, bo ani kto uprać, ani strawy ugotować, ani krów wydoić; więc z potrzeby ożenił się coś w niecałe pół roku z drugą, tylko, że nauczony doświadczeniem, nie szukał już ani urodziwej, ani posażnej, jeno wziął sobie wdowę z drugiej wsi, kobietę już nie młodą, nie ładną, ale robotną i do gospodarstwa, jak mu chwalono, jedyną, zabiegliwą, staranną.

Ta już nie miała pięści takiej, którąby orzechy tłuc mogła, ale za to miała język, że niczem miecz ognisty, niczem pytel młyński. Od rana do nocy nie stanął, tylko ciągle był w ruchu, a umiała nim dopiec do żywego i kłuć, nieprzymierzając jak osa. Robotna była, to prawda, ale po cichu,



Główna ulica w Sjang-tu, drugiej stolicy Chin.

bez języka nie rozumiała roboty, nie mogła się obyć bez niego, jak wesele bez muzyki. Gadała na męża, na sługi, na parobków, wymyślając im najrozmaitszemi przezwiskami, wychwalała nieboszczyka męża przy każdej sposobności, kłując ciągle Wojtka takiem wypowiedzeniem zalet tamtego, narzekając na ciężką pracę, na lekceważące obchodzenie się z nią i t. d.

Wojtkowi puchła głowa od tego ciągłego gadania; niecierpliwiło go to ciągłe gderanie żony, krzyknął na nią raz i drugi, żeby była cicho, prosząc ją grzecznie, żeby „stuliła gębę", a gdy to nie pomagało, wziął się wreszcie do bicia. Ale i tem nie poradził sobie. On walił, a ona gadała wciąż: bij, bij, zabij mnie, jakeś tamtę zabił; ale ci to na sucho nie ujdzie, jak z tamtą — o nie. Chybaby Boga w niebie nie było, ani na ziemi nijakiej sprawiedliwości. — Zobaczysz zbóju, będziesz ty w piekle gorzał po same łopatki. Pan Bóg ulituje się mojej krzywdy. O czemużem poszła za ciebie, żebym była pierwej ręce, nogi połamała, nim weszłam do tego domu. I po co mi to było? po co? Miałam męża, co był jak anioł dla mnie, co mnie kochał, szanował, nie tak, jak ten pijak, ten zbój, ten szubienicznik. On walił, a ona gadała wciąż; on sforsował sobie rękę, że już nią ruszać nie mógł, a jej niestrudzony język, ciągle się odcinał i kłuł go i drażnił tak, że w końcu dał za wygraną i zmykał przed tym językiem, jak Adam z raju przed ognistym mieczem — do karczmy. I dwa lata miał z nią takiego czyśćca na ziemi, aż się Pan Bóg umiłował nad nim i podczas ostatniej cholery powołał ją do swojej chwały.

Rok cały odpoczywał po niej, delektując się ciszą, jaka zapanowała teraz w jego domu, nie myśląc o małżeństwie, radził sobie w gospodarstwie najemnemi sługami. I tak parę lat przebiedował i zdawało się, że już sobie małżeństwo całkiem wybił z głowy, gdy oto naraz gruchnęło po wsi, że się żeni, i to z kim? z Magdusią Tajdusianką.

Magdusia służyła za pannę we dworze już od dość dawnego czasu i było jej tam tak dobrze, że chyba ptasiego mleka brakowało, bo państwo lubiło ją bardzo i przyzwyczaili się do niej, a mimo to zdecydowała się iść za Wojtka.

Ludzie we wsi dziwili się temu i żałowali ją, bo Magdusia była to delikatne stworzenie, drobne, bledziutkie, — a on chłop, jak dębczak.

Łapy, jak u niedźwiedzia, jak ją niemi kiedy chwyci, to zdusi jak ptaszynę; gdzie on będzie umiał obchodzić się z panienką delikatną takie ordynarne chłopisko, taki pijak, taki zbój, od którego już dwie żony uciekły na tamten świat.

Kobiety biegały do niej do domu co chwilę, odradzając jej to małżeństwo, ale Magdusia czy dlatego, że straszyły ją Jezusowe latka, do których jej już było niedaleko, czy też jej się sprzykrzyło służbowanie i zachciało się być gospodynią na własnych śmieciach, nie dała się odstraszyć niczem; wszystkie gadania przyjmowała pobłażliwym uśmiechem i odpowiadała na nie:

— Ej, nie taki on może straszny, jak go malują.

Widocznie miała nadzieję, że go sobie ułagodzi i oswoi, bo miała dziwny dar postępowania z ludźmi i ze zwierzętami, że wszystko lgnęło do niej i krowy i konie i nierogacizna i Burek, pies łańcuchowy, do którego dworska służba bała się przystąpić bez kija. Ona kija nie używała nigdy, ręki na żadne bydle nie podniosła; tylko łagodnością, dobrocią pociągała ku sobie i jednała sobie wszystkich i wszystko.

Powiadają, że są oczy, które mają taką jakąś dziwną moc w sobie, że wywierają urok na najdziksze nawet zwierzęta. Może i Magdusia miała takie urocze, a może też tylko serce takie poczciwe, kochające, że ciągnęło, jak magnes, inne serca do siebie. Czy to serce, czy oczy, czy inne jakieś przymioty dodały jej takiej odwagi, dość,że Magdusia po Wielkiejnocy poszła śmiało z Wojtkiem do ołtarza i ślubowała mu wobec wszystkich w kościele przytomnych, głosem szczerym a serdecznym, wiarę, miłość i posłuszeństwo małżeńskie.

Ludzie we wsi czekali po ślubie, rychło usłyszą w chałupie pierwszy płacz panny młodej, rychło zobaczą pierwsze siniaki na jej twarzy lub rękach; ale się jakoś tego doczekać nie mogli. Może dlatego, że państwo młodzi wybrali się po ślubie na odpust do Poznania, do świętego Stanisława. Wierzono jednak, że co się odwlecze, to nie uciecze i czekano dalej.

Ale państwo młodzi wrócili z Poznania i było cicho, spokojnie w ich domu, jak nigdy przedtem, a ludzie zauważyli, że Wojtek pozbył się teraz zupełnie owej buty i nadętości, z jaką dawniej traktował wszystkich, czem sobie zrażał i odstręczał od siebie; w postępowaniu zaś z żoną był jakiś inny, uprzejmy, grzeczny, jakby to nie służka dworska, ale jakaś szlachcianka była i jakby mu Bóg wie jaki posag wniosła do domu.

Co jednak najwięcej wszystkich dziwiło, to to, że Wojtek od czasu żeniaczki nie pokazał się ani razu w karczmie, a że jego kompania ztęskniła się za nim, więc wysłano jednego z nich raz wieczorem po niego, ażeby go sprowadził.

Wysłaniec nie poszedł wprost do domu przez drzwi, jak się patrzy, tylko podsunął się cichaczem na palcach pod okno jak złodziej dla wymiarkowania położenia. Wśród ciszy nocnej doszło do jego uszów przez otwarte okno jakieś głośne sylabizowanie. Zajrzał do wnętrza i oczom własnym nie wierzył — to był głos Wojtka, który z podpartą na ręku głową siedział, jak sztubak, nad elementarzem, a Magdusia palcem wodziła po literach i pomagała mu czytać. Obok nich na stole dwie szklanki herbaty do połowy dopite. W izbie czysto, schludnie, bieluchno, jak nigdy przedtem nie było, a zegar na ścianie cyka miarowym chodem.

Wysłaniec zgłupiał — nie mógł wyrozumieć, co się z Wojtkiem stało — wrócił do karczmy i powiedział kompanii, że Wojtek zwaryował.

M. B.

MARYNIA.

(Nowelka.)

Wiadomość, że się Antek powtórnie ożenił, otrzymałem w chwili, kiedym, zdala od kraju, biegał od miasta do miasta, szukając wrażeń wciąż nowych. Dziennik, który mi wieść tę przynosił, zastał mnie w pewnem małem miasteczku niemieckiem (słynnem z zamku baronowskiego, gdzie ongi popełniono cały szereg mordów i zaleństw), w porze rannej, gdym tylko co podniósł się z łóżka i z wielką uwagą spoglądał przez okno ku niebu, bom od pewnego czasu strasznie zaczął nie wierzyć nie tylko niemieckim obietnicom, ale nawet i — niemieckiej wiośnie.

W pierwszej chwili, po odczytaniu wiadomości o ślubie Antka, wykrzyknąłem mimowoli:

— Cóż znowu?!... czy to być może!

Ale wkrótce, w miarę jakem dopełniał szczegóły mojej tualety, zacząłem się coraz więcej dziwić memu pierwotnemu zdumieniu.

— Dlaczego to być nie może? — myślałem sobie. — Cóż w tem niemożliwego? Przeciwnie, to bardzo możliwe! Antek nie jest przecież stary, jest zaledwie w sile wieku. Bestya, chyba zawsze tak samo przystojny elegant boć przecie przez te pięć lat, com go

nie widział, nie mógł się tak bardzo na niekorzyść własną zmienić. Przytem, ma dziś podobno stanowisko, jak to mówią, solidne, dochody prześliczne. Ależ naturalnie!... Miał dziś większe prawo ożenić się, aniżeli wówczas, kiedy był biedakiem, chociaż matematykiem, i dobijał się przebojem kęsa chleba, nie zawsze zbyt tłustego!... Niema co, trzeba zbierać węzełki i zamiast przyglądać się przesyconym orgią ruinom baronowskim, pędzić do tego szczęśliwca i grzać się przy jego nowem ognisku domowem!

Szczególna rzecz! Od najmłodszych lat życia pieszczę w sobie wielkie umiłowanie do ogniska domowego, ale — cudzego. Broń Boże, nie dla jakichś celów szkaradnych, lecz wprost dlatego, że własne wydaje mi się czem równie niemożliwem, jak n. p. zapalenie papierosa na wietrze! Ponieważ Antka zawsze kochałem serdecznie, bośmy się razem łobuzowali za czasów studenckich, więc też od chwili, kiedy zadyszany, z roziskrzonemi oczyma, wpadł przed laty, któregoś wieczoru na czwarte piętro do naszego kawalerskiego apartamentu, i zawołał: „Oświadczyłem się!... przyjęła!!... chodź, funduję ci koniak!“ — od tego czasu pomnożyłem sobie Antka przez dwa i przyjacielem moim został Antek plus Marynia.

Od tej samej również chwili po raz ostatni wypiliśmy kawalerski koniak, i zaczęliśmy robić oszczędności, układać plany, przygotowywać program ślubu, wyszukiwać u żydów najtańszych mebli, biegać za mieszkankiem niedrogiem i t. d. Antek nawet tak się nagle zmienił, że powiedział do mnie któregoś ranka:

— Wiesz co, muszę się trochę przezwyciężyć i podlizać temu opasłemu Izydorowi. Może mi da awans!...

Awansu biedaczysko tak zaraz nie dostał, ale się mimo to ożenił i wprowadził swoją Marynię do dwóch pokoików, któreśmy wspólnie przystrajali i dopełniali przez całe trzy tygodnie, bo codzień jakieś nowe nam wpadały pomysły i coraz to jakiegoś szczególiku brakło. Ja, naprzykład, już w samą wigilię ślubu wytargowałem gdzieś klęcznik do obrazu Matki Bozkiej, który obiecała przysłać ciotka Maryni.

Musiałem wszystką moją rozkosz, tu na ziemi doznaną, w jedną zlać urnę szczerozłotą, aby mieć siłę opisać, ile szczęścia doznałem, kiedym miał ich przy sobie — ich, tych dwoje dzieciaków, kochających się, wesołych, z naiwną prostotą wierzących w lepszą przyszłość, a tymczasem całusami bez końca otulających swoje ubóstwo! Ta Marynia w swojej szarej sukience, z czarnym aksamitnym kołnierzykiem przy białej szyi, z parą niewymuskanych, ale sympatycznych łapek, wiecznie czemś zajętych i z owym bezwiednie kokietującym humorkiem młodej mężatki — stała się dla mnie czemś tak blizkiem, że po raz pierwszy doznałem wówczas tego dziwnego uczucia, które jest szczęściem całem natur prawdziwie idealnych. Poprostu zdawało mi się, że Marynia jest zarówno moją żoną, jak i żoną Antka, że mi z nią tak samo dobrze, jak Antkowi, o owym zaś wyższym stopniu poufałości, z jakiego miał prawo korzystać Antek, wcale nie myślałem, bo mnie ów „wyższy stopień“ nic, ale to nic nie obchodził.

Moje uczucie dla Maryni, które zresztą nie było niczem innem, tylko we dwójnasób, stosownie do okoliczności, wezbraną przyjaźnią dla Antka, posiadało całkowitą sankcyę młodych małżonków. W ich gniazdku, jeśli mówiono: „my“, to znaczyło: Marynia, Antek i ja. A więc mówiono: „Będzie nam może lepiej...“ „W lecie pojedziemy na letnie mieszkanie i będziemy chowali własne kury i kaczki...“ „Jak dostaniemy gratyfikacyę, to kupimy niebieskie portyery, bezwarunkowo niebieskie!...“ „Na jesieni trzeba się starać o większe zarobki, bo pewnie będziemy musieli wziąć drugą służącą, ale koniecznie staruszkę, taką, którąby stare bajeczki umiała, jak przystoi na prawdziwą nianię...“

Dlaczego Marynia nie doczekała się „niani?...“ dlaczego nie stało się nam trojgu „lepiej?...“ Dlaczego nie wymodliła sobie u Boga na owym moim klęczniku „portyer niebieskich“, „jedwabnej sukni lila“, którą za wczasu zachwycała się we własnej wyobraźni?... Dlaczego nie doczekała się „obiadów z pięciu dań“, o jakich z taką radością mówiła przy skromnym kotlecie?... Dlaczego nie ujrzała dwóch, trzech nakryć nowych przy stole, i dwóch, trzech fartuszków wyksatynowych, które „tak prędko myć można?...“ Dlaczego nigdy, nigdy już nie będzie miała mieszkania z „dzwonkiem elektrycznym“, a kuchni z dużą „śpiżarnią“, pełną, pełniusieńką, „aby tylko bez szczurów i myszy?!...“

Dlaczego?... dlaczego?!... Ot, zapewne dlatego, że anieli w niebie przeczuli w Antku hultaja, więc mu wczas unieśli bladą Marynię przed tron Najwyższego!... Kto wie?... możeby on ją zdradził, nimby się „fartuszki wyksatynowe“ zjawiły przy naszym stole?... Bo jeśli dzisiaj, jeśli dzisiaj on, Antek, był w stanie...

Nie dokończyłem własnej myśli, która mi się cisnęła do głowy, a wydawała potwornie straszną — może dlatego, że to było w wagonie niemieckim, wśród niemieckich podróżnych, w chwili kiedy krople niemieckiego deszczu jękliwie uderzały w szybki wagonu, noc zaś zapadała coraz głębsza. Bo, pamiętam, kiedym się w kilka godzin otrząsnął ze snu, spojrzał dokoła, poczuł promień słońca jasnego na plecach i ramionach, — ucieszyłem się ogromnie na myśl, że wraz z wiosną pędzę do kraju, że niebawem uścisnę Antka i poznam jego żonę, i że mi znowu może będzie „przy nich“ ciepło i rozkosznie...

W wybornem usposobieniu dojeżdżałem do Warszawy. Pociąg niósł mnie z hukiem, sykiem i łoskotem, a ja wychylałem się w oknie i gwałtem usiłowałem schwycić szczebiot wróbli, bo mi się zdawało, że się te nasze ptaszyny gniewają na mnie za długą moją nieobecność i dlatego z taką furyą ulatują z pod pociągu, hen, daleko, ku słońcu, jak gdyby mi nawet w oczy popatrzeć nie chciały... Na jednej z małych stacyjek nagle zasępiłem się, bo mi przyszło na myśl, dlaczego Antek nie zawiadomił mnie o swoim ślubie?... „Czyżby się może wstydził?...“ — pomyślałem, ale wnet przypomniałem sobie, że i Antek nie jest świętym, więc skądże mógł wiedzieć, gdzie się i po jakich wertepach wałęsam? „No, a wstydzićby się nie miał ѣego“ — dodałem, w dalszym ciągu obserwując wróble.

Jak przyjechałem do Warszawy, jak rzuciłem tłomoki w ponurym numerze hotelowym, jak się ubrałem i kiedy wysiadłem z dorożki przed okazałą kamienicą, gdzie mi mieszkanie Antka wskazano, — prawie nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że to już było pod wieczór, żem przebiegł kilkanaście marmurowych stopni, dotknąłem dzwonka elektrycznego — i po chwili ujrzałem wyfraczonego lokaja, który mi z powagą, nosowym nieco tonem, powiedział:

— Owszem, pan naczelnik w domu. Jak mam zaanonsować?

Podałem mu swój bilet i jednocześnie usłyszałem dolatujący mnie z pokojów śmiech — dwa głosy rozróżniłem, a jeden z nich był głosem Antka. W chwili jednak, kiedy lokaj zniknął za ciężką portyerą z moim biletem, wesoły ów śmiech umilkł, zapanowało jakieś kłopotliwe milczenie, ja zdjąłem paltot, a Antek wbiegł z okrzykiem i rzucił mi się w ramiona.

Niebawem znalazłem się w wy-

twornym salonie, poznałem się z prze-ślicznie ubraną kobietą, która mi wy-szczebiotała mnóstwo komplementów, wypaliłem papierosa, popieściłem ja-kiegoś pieska rasowego, usłyszałem o znakomitych operacyach banku, którym dowodził Antek — wreszcie zostałem wciągnięty do jadalni, gdzie podano obiad. Wszystko to odbywa-ło się tak prędko, z takim iście elek-trycznym pośpiechem, że nie zdołałem się nawet opamiętać, przypatrzyć Antkowi, rozmiłować w jego żonie.

Dopiero w jadalnym pokoju, rzę-siście oświetlonym, spostrzegłem, że Antek jest pięknym, czerstwym i we-sołym mężczyzną, jak dawniej; że jego żona jest arcy miłą i zalotną ko-bietką; że wreszcie „gniazdko" ich jest czarująco miłe i wygodne, takie właśnie, jakiego mi potrzeba na sta-rokawalerskie lata. Więc też wpad-łem w humor niesłychany. Rozpowia-dałem o moich pięcioletnich podró-żach po świecie: o oczach Hiszpanek i kaskach niemieckich, o mściwości Włochów i potrawach francuskich.

— Ach! — zawołałem, popijając wino — Francuzi wybornie jedzą! Ale wyobraźcie sobie państwo, że ja sam już chorowałem z rozpaczy!... Prześladowała mnie wanilia!... Fran-cuzi przepadają za wanilią!...

Pani domu zaczęła się śmiać, a po chwili zrobiła śliczny grymasik, niby to martwiąc się srodze.

— Ach, mój Boże! — szepnęła, — a u nas dziś krem wanilowy... na pią-te danie!

Co się ze mną stało? Zbladłem i za-drżałem. I nagle ogarnęła mnie strasz-na wściekłość, rozpacz prawie, i z wy-rzutem spojrzałem na Antka. Ani postrzegł mego wzroku i mówił tylko, uśmiechając się dyskretnie:

— Nic nie szkodzi, skwitujemy z kremu, a za to wypijemy coś do-brego!

Mimowoli odetchnąłem i uspokoi-łem się, bom sobie przypomniał, że przecież w Paryżu zawsze jadałem piąte danie, i nigdy mnie to nie gnie-wało. Dlaczego mi się teraz przy-pomniała Marynia i jej marzenia o „obiedzie z pięciu dań?..." Głupst-wo, nic więcej!

Zacząłem się raczyć jakimś wy-mienicie upieczonym ptaszkiem i opo-wiadać jakąś anegdotę angielską, nie-zwykle dowcipną. Śmieliśmy się wszyscy troje, gdy nagle pani unio-sła rękę i dotknęła guziczka, wiszące-go nad stołem...

Śmiech zamarł mi na ustach; zno-wu uczułem niepokój... Znowu dziw-nie spojrzałem na Antka, on znowu tego nie zauważył, ja zaś powtórnie ofuknąłem sam siebie i przypomnia-łem sobie, że przecież dziś już kilka razy dotknąłem dzwonka elektryczne-go, nawet w hotelu, a jednak... nie my-ślałem o Maryni!... Dzieciństwo!

Antek miał racyę, nie martwiąc się moim wstrętem do wanilii. Za-miast piątego dania, ciągnęliśmy bar-dzo starego węgrzyna, co nie było zgodne z ustanowionym przez Fran-cuzów ceremoniałem obiadowym, ale co właśnie było „czemś", znakomicie uśmierzającem żal po „piątem daniu."

Wpadliśmy na temat mrozów, które miały ubiegłej zimy niezwykle dokuczać Warszawianom.

— Ha! ha! — zawołałem, — ja-cyście tu jednak w Warszawie zmar-źlaki!... Gdybyście byli w Skandyna-wii!... Zresztą, mróz teraz w modzie!...

— No? no?...

— Ależ naturalnie, ponieważ lite-ratura „mroźna", czyli północna, także w modzie!

— Wybornie roześmiała się piękna gospodyni. — Ale w takim razie mróz powinien być liliowy, bo teraz, panie, w modzie kolor lila!

Wlepiłem oczy w śmiejącą się pa-nią tego domu... Boże! czy to przywi-dzenie?... ona ma suknię lila, jedwab-ną suknię lila!... Ale wszak ja już pa-trzałem na tę suknię dzisiaj. Nie wi-działem wszakże tego, co widzę w tej chwili... Tak, to Marynia tam siedzi! uśmiecha się do mnie, bo dumna ze sukni lila! ona o niej tyle lat marzy-ła!... pragnęła jej, bo taką suknię lila miała Matka Bozka, której obraz wi-siał nad moim starym klęcznikiem!...

Maryniu kochana! więc nareszcie cel osiągnięty!... Lepiej już nam troj-gu — nie prawdaż? Wszak biedy ani śladu, już nie dwa pokoiki ciasne, ale cały apartament!... Gdzie ta dawna nędza, ciągły brak, ta jednostajność i nuda?... Ot, pewnie dziś jeszcze Antek weźmie cię do teatru, boś na to zasłużyła, kiedyś w szarej sukience ścierała kurze, siekała kotlety, szyła bieliznę, a później, spracowana, mia-łaś jeszcze uśmiech dla mnie, niosłaś wieczorem pieszczotę Antkowi i nie narzekałaś na podarte trzewiczki!... Maryniu, szczęśliwa jesteś teraz, co?... bardzo szczęśliwa?

— Może przejdziemy do salonu?...

Otrzeźwiałem. Podniosłem rękę do oczu, bo czułem, że tam łza zawisła. Co za halucynacya! Skądże Marynię mogłem widzieć przy stole!... At, wę-grzyn zbyt stary!

Nie prześliśmy do salonu, tylko do gabinetu „pana naczelnika." Kiedym się tam rzucił w głęboki fotel, uczułem znowu przypływ krwi do głowy. Nie-pohamowana nienawiść do tego czło-wieka, który siedział przede mną, a którego tak kochałem niegdyś, za-władnęła mną całym. „Nie przebaczę ci! — myślałem ze zgrozą — nie prze-baczę, żeś powtórnie pogrzebał Ma-rynię!..."

— Prawda, jacyśmy byli wtedy szczęśliwi... „po swojemu?!"

— O, tak! — szepnąłem.

Po chwili zaś spytałem głuchym głosem:

— A dziś?... jesteś-że dziś szczęś-liwy?

— Jeszcze o to pytasz!... Dziś?... dziś naturalnie!... wszystko się na to składa!... Dziś jestem o wiele, o wie-le — szczęśliwszy!

Powstałem z fotelu i podałem mu rękę. Pożegnał mnie serdecznie, za-wołał swoją panią, a ta prosiła, abym przychodził do nich, jak do swoich, choćby codzień, codzień na obiad!

— Już nigdy — wołała — nie dam panu waniliowego kremu na piąte danie!

Nie odpowiadałem nic, tylko wpa-trywałem się w nią z jakimś lękiem i podziwem. Patrzałem na jej białą szyję, która się nurzała w koronkach, i zdawało mi się, że Antek popełnia zbrodnię, nie całując już dziś tamtej szyi, co się z pod skromnego kołnie-rzyka aksamitnego tak miłośnie ku niemu niegdyś chyliła!...

Śpieszyłem się, aby pożegnać obcą mi, a rozpromienioną parę młodych małżonków, i uciec od nich, od ich szczęścia, ich dostatku i zbytku!... „Boże! — myślałem sobie — jeszcze mi wspomną o wyksatynowych far-tuszkach!... Duszno mi tu..."

Po raz ostatni ściskałem dłoń Antkowi, a on długo nie puszczał mo-jej ręki i mówił wesoło już we drzwiach otwartych:

— Mój drogi, przychodź-że, bądź trzecim przy naszym stole, nim się zjawi... ktoś czwarty!

Prawie z obrzydzeniem wyrwałem rękę z jego ciepłych palców i wpad-łem na schody. Po ulicy biegłem szyb-ko. Mijałem sklepy, latarnie, prze-chodniów, nie myśląc formalnie o ni-czem. A gdym doszedł do rogu ulicy, zatrzymałem się i zacząłem sobie ro-bić wyrzuty, żem się może nieprzy-zwoicie zachował u tego poczciwego w gruncie rzeczy Antka... Dalibóg, czego ja się do niego czepiam?... Ot, człowiek, jak każdy inny!... a jaki dzielny!... Trzeba być takim marzy-cielem, jak ja, i takim głupcem, jak ja... A ponieważ głupcem być nie wy-pada, więc — pójdę jutro do Antka na obiad z pięciu dań!

Ursyn.

Dział Kobiecy.



Kobieta w biblii.

Anglik dr. Chotzner napisał ciekawe studyum, dające obraz położenia kobiety żydowskiej w starożytności. Twierdzenie swoje popierając odpowiedniemi cytatami z Pisma św., wykazuje autor, o ile lepszym był los kobiety u żydów, aniżeli u wszystkich innych narodów Wschodu.

Opierając się na Starym Testamencie, można odróżnić dwie epoki w historyi kobiety żydowskiej: 1) od stworzenia świata do wejścia do Ziemi Obiecanej, 2) od tej chwili do czasu odbudowania świątyni jerozolimskiej. Charakterystycznym rysem pierwszej epoki jest wielka prostota obyczajów, spowodowana życiem koczującem narodu. Położenie kobiety w tej epoce przypomina z wielu względów los kobiet greckich za czasów bohaterskich, z tą jednak różnicą, że wedle podań Greków, Pandora, pierwsza kobieta, uosabia wszystkie klęski i niedole, gnębiące odtąd ród ludzki, pierwsza zaś niewiasta biblijna, Ewa, dana jest mężowi za towarzyszkę i pomocnicę.

Kobiety żydowskie mieszkały pod namiotami, które po hebrajsku zwano *ohel.* Wstając o świcie, trudnią się one przygotowywaniem żywności i tkaniem odzieży dla wszystkich członków rodziny. Niejednokrotnie w rodzinach hebrajskich spotykamy stare niewiasty służebne, które rozciągają pieczę nad najmłodszą dziatwą i cieszą się szacunkiem i życzliwością swych panów. Dziewczęta pomagają matce w pracach gospodarskich, a nadto pasą trzody ojców swoich. Zgromadziwszy się u studni dla napojenia bydła, gawędzą tu wesoło z rówieśnicami i z pasterzami. Wogóle życie ich jest swobodne, wolne od niewolnictwa i tysiącznych krępujących przepisów, którym podlegały niewiasty innych wschodnich narodów.

Między 12 a 18 rokiem dziewczę wychodziło za mąż. Historya Jakóba i Salomona świadczy, że niekiedy młodzieniec starał się o kobietę, którą pragnął zaślubić; najczęściej jednak małżeństwo zawierano za pośrednictwem osób trzecich. Ilekroć oblubienica pochodzi z wyższego rodu, niżeli oblubieniec, ojciec oddaje ją w zamęźcie w dowód szczególniejszych względów. Oto dlaczego Jetro zaślubia córkę swą Mojżeszowi, Otoniel pojmuje w małżeństwo córkę Kaleba, a Dawid zostaje zięciem króla Saula. Małżeństwu, które Hebrajczycy zowią „kidduszin" (uświęcenie) nie towarzyszy żaden obrzęd religijny: zaślubiny Ruth i Rebeki polegają tylko na błogosławieństwie wszystkich obecnych. Później nieco nowożeńcy wykonywają przysięgę wierności.

Prawo Mojżeszowe nie wzbrania wyraźnie wielożeństwa, wogóle jednak Hebrajczycy żyli w jednożeństwie. W księdze Genezy powiedziano jest: „Człowiek opuści ojca swego i matkę swą, i pójdzie za *żoną swą,*" nie zaś: za *żonami swemi.*

Podobna prostota obyczajów przebija się również w owoczesnym ubiorze kobiet żydowskich. Noszą one odzież skromną, lnianą, bez żadnych ozdób, w dni świąteczne tylko przywdziewają szaty bogate, a nawet stroją się w klejnoty. Podczas pobytu w Egipcie nauczyły się one używać zwierciadeł, które wyrabiano z mieszaniny miedzi i cyny; wówczas także wydoskonaliły się w śpiewie, tańcach i muzyce. Po przejściu rza czerwonego, śpiewają chórem hymn dziękczynny. U stóp Synaju na równi z mężczyznami dostępują zaszczytu słuchania przykazań Boskich, przez usta Mojżesza głoszonych. Wogóle lubią one kwiaty, śpiew i muzykę, skrzętne są i gospodarne, chętnie niosą pomoc ubogim i w całej pełni odczuwają swobodę swą i niezależność.

W drugiej epoce historyi biblijnej — od wejścia do Ziemi Obiecanej do odbudowania świątyni jerozolimskiej, życi kobiety hebrajskiej, stanowisko jej i oby czaje znacznej ulegają zmianie. Pie wotna prostota ustępuje teraz miejsc zbytkowi i przepychowi, co wynikn musiało z częstych stosunków z cudz ziemcami. W ubogiej nawet średni warstwie małżonkowie wspólne zajmu mieszkanie; w bogatych natomiast rodz nach kobiety przebywają w osobnej cz ści domu, zwanej „harmon" od hebra skiego słowa „harem" (odosobniony które to miano nadano następnie ture kiemu gineceum.

I wtedy również kobiety hebrajsk większą cieszyły się swobodą aniż wpośród Greków i Persów. Były o paniami swego czasu, nie okrywały tw rzy zasłoną, wychodząc na ulicę; ni które z nich, jako to: Debora, Jezabe Atalia, Hulda, Estera brały też czyn udział w życiu publicznem.

Rozrywki ich polegały na odwiedz niu krewnych i przyjaciółek, oraz uczestniczeniu w zabawach publiczny które odbywały się bardzo często. D takich należały: obrzędy religijne, w sela, winobranie, żniwa, podczas kt rych mężczyźni i kobiety tańczyli p dźwiękach muzyki. Słowem, w stoli Judei i w innych większych miasta Palestyny bawiono się ochoczo; str i zabawy stanowiły treść życia ówcze nych kobiet, które w tej mierze nie stępowały bynajmniej płci pięknej w og skach nowoczesnej cywilizacyi. W Je zolimie, według słów Edessheim wszystkiego dostać można było „ sztucznych zębów do szalów perski zawojów arabskich i tkanin indyjskich

Podobnie jak Egipcyanki, Greczyn i Rzymianki, kobiety hebrajskie zwyk namaszczać włosy i skrapiać odzież wo nymi olejkami, których cena była bard wysoką. Używały także kosmetykó podnoszących blask oczu. Córkę Jo nazywano Kerenha-puch, co znaczy: „r woniejący."

Pięknością swą i wdziękiem słyn one szeroko, nosząc urocze przydom Róży doliny, Gołębicy, Zorzy, Słoń Gwiazdy i t. d. A jeżeli wierzyć tw dzeniu, iż przysłowia są odbiciem zw czajów narodów, w Biblii niemało zn dziemy dowodów świadczących, że H brajczycy obchodzili się z żonami z łością i uszanowaniem. *D.*

(Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

22) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Jakiś ty dobry dla mnie ojcze! szepnęła młoda dziewczyna. Miałeś rzeczywiście słuszność, mówiąc, że musimy na pewien czas opuścić Hamburg i poznać cuda świata! Tu, w tym raju wyzdrowieję wnet! Czuję to bardzo dobrze!

— Dałby Bóg! Ach, ile ja strachu miałem o ciebie, droga Emilko! Ale tyś niewinna, moje dziecko, że nie możesz tak prędko sił odzyskać! Wszyscy doktorzy, których pytałem, powiedzieli mi, że dusza twoja chora! I ja, milioner, nie mogłem kupić ci zdrowia! Dopiero jeden lekarz, wiesz, kogo mam na myśli — ów stary Francuz, poradził mi, abym zaczął z tobą podróżować. Mówił, że ty kochasz kogoś potajemnie, i że jedynie cuda przyrody mogą cię uleczyć.

— I miał słuszność, ojcze! Czuję się już o wiele silniejszą i nie cierpię tyle, jak dawniej.... Wezwałam rozum na pomoc, zaczynam zapominać — — — i wiem, że nie mogę żądać miłości tego, który już innej oddał swe serce! Maksymilian Dorn nie istnieje już dla mnie!

— Dzięki Bogu! zawołał pan Sebald uradowany, teraz widzę, że jesteś zupełnie zdrową!

— Tak, ale byłabym o wiele spokojniejszą, gdybyś był ojcze w jaki sposób okazał wdzięczność naszą panu Dornowi. Ocalił on mnie od śmierci, a my zostaliśmy jego dłużnikami. Pieniędzmi nie można mu wprawdzie tego zapłacić, ale że odrzucił moje serce i moją rękę....

Tu głos jej zadrżał, i odwróciła szybko głowę, aby ojciec jej nie zobaczył łez, cisnących się do oczu.

Pan Sebald uważał również za stosowne naprowadzić córkę na inne myśli.

— Wiesz co, rzekł, idźmy też raz do kasyna i połóżmy kilka franków na ruletę. Dla samej ciekawości!

— Ach, ja czuję prawdziwy wstręt do tego białego domu, zawołała Emilia. Zdaje mi się, że nie ludzie tam się znajdują, tylko dzikie zwierzęta!

— Sądzisz za ostro moje dziecko. Są ludzie, którzy nie wiedząc, co robić czasem z pieniędzmi, szukają rozrywki, podniecającej ich nerwy i tutaj ją znajdują! Idźmy do sali gry! —

— Jeżeli sobie tego życzysz, ojcze!

Pan Sebald i córka jego wstali, i rozmawiając, zbliżali się wolno do osławionego kasyna.

Gdy dochodzili do schodów, spostrzegli wchodzących na nie, młodego, wysmukłego, wytwornie ubranego mężczyznę i cudownie piękną, młodą także kobietę.

— To ona! zawołała Emilia. To owa kobieta, której piękność zaraz nam tu podpadła! Jakie prześliczne jasne włosy i błękitne oczy! Kto to jest ojcze?

— Dowiedziałem się ich nazwisk, chcąc ci zrobić tem przyjemność, bo wiem, że się zajęłaś tą parą. Otóż to jest hrabia Barin z zamku Osterna, położonego na granicy austryacko-rosyjskiej, i żona jego Felicya!

Pan Sebald wszedł teraz z córką do przedsionka, w którym cały szereg lokai czekał na gości, odbierając od nich kapelusze, okrycia i laski, ztąd zaś wprowadzono ich przez wspaniale urządzony salon do właściwej sali gry.

Dziwny, niezwykły widok przedstawił się tu ich oczom.

W ogromnej sali o zwierciadlanych ścianach stały cztery stoły, z których każdy otoczony był ogromną liczbą elegancko ubranych osób. Cisza panowała tu głębsza, niż w kościele.

Zdaleka tylko rozlegał się szelest toczącej się kulki z kości słoniowej, brzęk złota, i głos krupiera, oznajmiającego zawsze numer lub kolor wygranej.

— Czerwone wygrywa — czarne przegrywa! Nowa gra zaczyna się! Panie i panowie, stawiajcie!

Sebald i córka jego byli w sali, w której grano Rouge et noir (czarne i czerwone.)

Walczono tu o olbrzymie sumy, twarze grających drgały konwulsyjnie, a oczy ścigały z wyrazem dzikiej namiętności spadającą kulkę.

Panie siedziały, panowie stali za niemi, czasem jednak w zapale gry, zapominali o należnej kobietom grzeczności i odpychali je przemocą od stołu.



W sali gry w Monte Carlo.

Krupierzy z największą w świecie obojętnością wypłacali lub zgarniali pieniądze.

Mimowoli zajęła Emilię gra ta i całe otoczenie, ale więcej niż stosy pieniędzy, interesowała ją owa piękna kobieta, którą ojciec jej nazwał hrabiną Barin.

Hrabina patrzała obojętnie na grę, mąż jej jednak potrafił sobie zdobyć miejsce przy jednym z stołów i zaczął natychmiast znaczne stawiać sumy. Wyjmował z czerwonej torebki całe paczki banknotów i rzucał je, nie licząc nawet na stół.

Od samego początku stawiał na kolor czerwony, i o ile można było sądzić, wygrywał często. Torebka zdołała już ledwie objąć stosy papierów i złota, a twarz hrabiego promieniła wielkiem zadowoleniem.

Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Barina, stał wysoki, starannie ogolony mężczyzna, w którym na pierwszy rzut oka poznać było można Amerykanina, podróżującego dla przyjemności po Europie.

Z rozmowy sąsiadów dowiedziała się Emilia po chwili, że Amerykanin ten posiada miliony, nazywa się Vard, i że pochodzi z Detroit, to jest z Północnej Ameryki.

Obok niego stała jeszcze córka jego Klara, młoda i niezwykle piękna dziewczyna, podpadająca równie urodą jak i bogatym i wytwornym strojem.

Emilii zdawało się z początku, że Amerykanka jest nadzwyczaj dumną i nieprzystępną osobą, ale gdy nieco później zbliżyły się przypadkiem do siebie, i gdy miss Vard przemówiła do niej kilka słów, przekonała się, że to nadzwyczaj miła i uprzejma dziewczyna i uczuła od razu wielką do niej sympatyą.

Miss Klara, licząca najwyżej lat siedemnaście, była wykształconą, inteligentną, i pociągała niezmierną słodyczą w obejściu i wielkim wdziękiem całej swej istoty.

— Nieznośna gra, rzekła, wykrzywiając lekko usta, papa przywiózł mnie tutaj, mówią, że Monte Carlo to raj prawdziwy, i rzeczywiście byłoby tak, gdyby nie ta przebrzydła gra! Patrz pani — z jaką uwagą spogląda papa na tego pana, stawiającego nieustannie na czerwone! Jestem

pewną, że papa zacznie wkrótce stawiać ciągle na czarne! Będzie to istny pojedynek!

Miss Klara miała słuszność!

Skoro hrabia Barin stawił jaką sumę na czerwone, stawiał Vard taką sama sumę na czarne. Gra obydwóch stała się tak zajmującą, wszyscy inni gracze cofnęli się, aby obserwować lepiej walkę przeciwników.

— Dziesięć tysięcy franków na czerwone, zawołał Barin.

— Dziesięć tysięcy franków na czarne, powtórzył spokojnie Vard.

— Czerwona wygrywa!

Barin zgarnął pieniądze i uśmiechnął się.

Gra ta powtórzyła się kilka razy, i gdy Barin zamierzał znowu zbierać wygraną, rzekł Vard szyderczo:

— Zostaw pan to! Możesz podwoić stawkę!

— Owszem, jak pan chcesz, odpowiedział hrabia, cofając wyciągniętą rękę.

Vard położył na czarne dwadzieścia tysięcy franków. Kulka zaczęła krążyć — widzowie nie śmieli oddychać.

— Czerwona wygrywa, rzekł krupier monotonnym głosem.

Barin nie ruszał się. Podwajanie stawki zaczęło mu się podobać, Vard zaś wyjął z kieszeni czterdzieści tysięcy franków.

Klara dotknęła lekko jego ramienia.

— Pójdź, papo, szepnęła, masz dziś nieszczęście, jutro będzie lepiej!

— Nieszczęście? rozśmiał się Amerykanin. Ależ dziecko, tu chodzi o zabawkę! Doprawdy, wygrałeś pan znowu. Czy pan jeszcze raz podwoisz stawkę?

Barin pochylił potwierdzająco głowę — Vard położył na czarne ośmdziesiąt tysięcy!

Widzowie zaczęli się niepokoić. Tak szalonej gry nikt tu jeszcze nie widział — z przyległych salonów zaczęli się gracze schodzić — setki ludzi patrzało na tę walkę dwóch mężczyzn, którzy wcale się nie znali, a którzy usiłowali wydrzeć sobie nawzajem majątek. Nawet Sebald i Emilia zbliżyli się nieco do stołu i patrzyli z ciekawością, jaki będzie koniec tej walki.

— Podwójmy teraz jeszcze raz stawkę, zawołał Vard. I niech to będzie ostatnią grą dzisiaj!

Milcząc, wyjął Barin z torebki ośmdziesiąt banknotów tysiącfrankowych i położył je obok tych, które już tam leżały.

Na każdem polu było teraz po sto sześćdziesiąt tysięcy franków!

Krupier rzucił kulkę, która szybko stoczyła się na dół.

— Czerwona wygrywa!

Barin zgarnął pieniądze, schował je do kieszeni, ukłonił się i odszedł od stołu.

— Więc do jutra, rzekł, zwracając się do Varda.

— Do jutra! O dziesiątej rano!

Potem podał Amerykanin córce ramię i spokojny, jak gdyby wcale nie był grał, wyszedł z nią z sali.

Barin i Felicya udali się na terasę, zkąd zachwycający był widok na błękitne morze.

— Miałem dziś szczęście, co się zowie szepnął Barin cicho. Jeszcze kilka takich dni, a miliony Amerykanina przeszłyby do mojej kieszeni. Moglibyśmy wtedy opuścić Europę!

— Nie chcesz więc już wracać do Osterna? zapytała Felicya.

— Znudziło mi się już to ponure gniazdo. Wrócę tam może raz jeszcze, ale tylko po to, aby je sprzedać! Nie mam bynajmniej ochoty przepędzenia mego życia w tych ciemnych murach! Wolę żyć w Paryżu z moją piękną, ukochaną żoną! Potrzeba nam jeszcze tylko trochę szczęścia w Monte Carlo!

— A jeżeli jutro wygra Amerykanin?

Barin zmarszczył czoło.

— No, i wtenczas muszę jakoś poradzić sobie, rzekł zmienionym głosem. Ale teraz idźmy na obiad. Kto wygrał dwakroćstotysięcy franków, ten może zjeść królewski obiad!

Felicya, posłuszna, jak zawsze, poszła z nim do jednej z tych restauracyi nad morzem, gdzie obiad na dwie osoby kosztuje kilkaset franków. Pieniądz w Monte Carlo nie ma wartości!

Vard tymczasem przechadzał się z córką po parku i rozmawiał z nią spokojnie, ale poważnie.

— Pójdziemy teraz na obiad do hotelu Continental, rzekł w końcu. Wiesz, kto nas tam oczekuje — —

— Ah, domyślam się, zawołała Klara niechętnie. Jest to książę Chimay!

— Tak, książę Chimay! Proszę cię, nie wyrażaj się o nim tak szorstko — wiesz przecież, że masz zostać jego żoną!

— Ja wiem tyle tylko, rzekła Klara z energią, właściwą Amerykankom, że papa przyrzekł mu moją rękę!

— I czy to nie dosyć? Czy ja nie mam prawa rozporządzania twoją ręką? — Czy nie jesteś mojem dzieckiem? Musisz mi być posłuszną! Żądam tego stanowczo!

— Tak papo, jestem ci winną posłuszeństwo, i zdaje mi się, że byłam ci zawsze dobrą córką, ale gdy chodzi o szczęście całego mego życia, to zdaje mi się, że ja sama mam prawo rozporządzania moją osobą!

— Co masz do zarzucenia księciu? — zapytał Vard surowo.

— Nic! Jest on dla mnie za stary i nie kocham go!

— Nie kochasz go? zawołał Vard niezmiernie zdumiony. I to mówi Amerykanka? Powiedz mi, co jest miłość? Bo ja nigdy nie kochałem.... Ja daję księciu dziesięć milionów franków — on ci daje książęcą koronę — a więc interes załatwiony. O miłości nie ma tu wcale mowy. Zostaniesz księżną Chimay, i koniec na tem!

Klara milczała. Wiedziała ona aż nadto dobrze, że woli ojca oprzeć się nie zdoła, i że będzie musiała zostać żoną księcia, pomimo, że nie kochała go wcale! Czuła, że jest ojcu ciężarem, którego pragnie się pozbyć, i że z swemi milionami jest samą i opuszczoną. Vard nie był jeszcze starym, chciał używać świata, a dorosła córka przeszkadzała mu w tem niezmiernie, udał się więc z nią do Europy, będąc pewnym, że tu najprędzej znajdzie dla niej odpowiedniego męża.

Handlując dotąd wieprzowem mięsem, zarobił na niem niezliczone miliony. Ale teraz zapragnął nagle innego towarzystwa — na zaganiaczy, rzeźników i handlarzy nie patrzał już wcale — jedynie hrabiowie i książęta mieli przystęp do niego. Dla córki chciał mitry książęcej — dziesięć milionów wystarczało, aby ją kupić i na nowo pozłocić! I takiego księcia znalazł prędzej, niż się spodziewał!

W Rzymie poznał księcia Chimay, zrujnowanego arystokratę, który szukał żony z wielkim majątkiem. Obydwaj spekulanci porozumieli się z zadziwiającą szybkością i ułożyli, że ślub młodej pary ma się odbyć w kościołku w Monte Carlo. Wszelkie przygotowania były bez wiedzy Klary ukończone i teraz dowiedziała się zupełnie niespodziewanie że ślub jej odbędzie się za dwa dni.

— Za dwa dni! jękła przerażona. Już za dwa dni?

— Im prędzej tem lepiej, odrzekł ojciec. Ja muszę dla ważnych interesów wracać do Ameryki, i jestem już spokojny o ciebie. Wyjedziecie zaraz po ślubie do Paryża i zamieszkacie w pałacu, który kazałem tam kupić i urządzić jak najwspanialej!

Klara spuściła głowę, a gorące łzy spłynęły po jej smutnej twarzy.

I w tejże chwili stanęła przed oczami jej duszy postać — o której marzyła lata całe, z którą najmilsze łączyły ją wspomnienia — postać cygana!

Nie mogła zapomnieć pięknego, czarnowłosego Riga i jego czarownej gry na skrzypcach, i gdy teraz, oparta na ramieniu nieubłaganego ojca, wchodziła na salę, błyszczącą złotem i marmurami, nie widziała strojnych gości, zapełniających salę, tylko zdawało jej się, że wszędzie stoi biedny cygan, w podartem ubraniu, z skrzypcami w ręku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

10) **Tłomaczyła P. Otrys.**

(Ciąg dalszy).

Był to niezwykle wysoki i silnie zbudowany mężczyzna — jednem uderzeniem ręki zabijał człowieka, jak muchę. Prawdziwy lew w niewoli!

W tejże chwili poruszył się Carmelo niecierpliwie — żandarmi przyskoczyli natychmiast i groźnie podnieśli pałasze.

— Głupcy, — zawołał bandyta pogardliwie. — Myślicie, że człowiek tak jak ja skrępowany jeszcze wam ucieknie!

Wiem, że nie ujdę wam, ale tam, — dodał, wskazując głową na tłum, — tam jest ktoś, komu bym chętnie chciał powiedzieć kilka słów!

— I któż to jest? — zapytał jeden z żandarmów.

Carmelo podniósł się o tyle, o ile mu więzy pozwalały i krzyknął:

— Ludwiku Biscardi! Myślisz, że cię nie widzę? W piekle nawet poznam cię! Zbliż się, muszę ci na pożegnanie powiedzieć kilka słów!

Głębokie milczenie zapanowało po tych słowach bandyty, potem rozstąpił się tłum, i młody, bardzo piękny oficer bersaglierów, zbliżył się śmiało, z szyderczym na ustach uśmiechem do Carmela.

— Widzisz! — rzekł głośno, — schwytam cię jednak! Wołałeś mnie, otóż jestem! Czego chcesz odemnie, łotrze?

Neri spojrzał na niego z niewysłowioną pogardą.

— Zdradziłeś mnie! — krzyknął, a oczy dziko błysnęły. — Szpiegowałeś, śledziłeś mnie — dzieło twoje powiodło się.

Idź teraz po nią — ona czeka na ciebie — niech ci powie, jak bardzo cię kocha — jeżeli może — —

Słowa te przeraziły niezmiernie oficera.

— Co to znaczy? — zawołał gwałtownie. — Czyś ty — o Boże! Przecież jej nie zabiłeś?

Carmelo rozśmiał się.

— Ja? Nie, ale ona sama odebrała sobie życie! Nie domyślałeś się tego? Wzięła mój nóż i wbiła go sobie w serce! Wolała śmierć, niż ciebie! Szukaj jej! Tam w górach leży ona, z uśmiechem na bladych ustach — ostatni jej pocałunek należał do mnie! Słyszysz? A teraz idź do czarta, podły zdrajco!

Młody oficer, blady jak ściana, cofnął się i zniknął w tłumie, ja zaś zbliżyłem się do żandarmów i wsunąłem każdemu z nich dziesięć franków w rękę.

— Pozwolicie mi przemówić do niego kilka słów? — rzekłem.

— Owszem, ale nie wiele...

Zwróciłem się do uwięzionego i spytałem cicho, tak, że nikt tego nie słyszał:

— Znam Andrzeja Luciani! Nie każecie mu nic powiedzieć?

Twarz bandyty rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

— Andrzej uczciwym jest człowiekiem, — odrzekł. — Powiedz mu pan, że Teresa nie żyje, a ja — —

On wie, że ja nie zamordowałem jej — nie byłbym mógł tego uczynić! Zanim zdołałem przeszkodzić, zatopiła sobie nóż w sercu. — I lepiej tak....

— Uczyniła to, aby uniknąć natręctwa innego?

— Tak! Nie chciała się narażać na to! Wolała umrzeć! I w oczach złoczyńcy błysnęły łzy.

Żandarm dał mi znak, abym skończył rozmowę — zaraz potem ukazał się oficer na koniu, i zanim się spostrzegłem, już nikogo na placu nie było!

Szedłem dalej, myśląc o nieszczęśliwej Teresie. Widziałem ją martwą, z głęboką w sercu raną... Dziwna rzecz! Więc istniały jednak kobiety, które wolały umrzeć niż złamać wierność! Może to były tylko kobiety proste, niewykształcone, takie jak kochanka bandyty, owa Teresa, — panie, ubrane w aksamity i brylanty uważały sztylet za lichego pocieszyciela — one wolały jednego, albo kilku żywych pocieszycieli. Tylko gbur woli śmierć niż hańbę — nowoczesne wychowanie radzi nam, nie brać zanadto na seryo przysięgi i przyrzeczenia!

Nagle ujrzałem jednego z żandarmów, prowadzących poprzednio Carmela. Skinąłem na niego i zapytałem, co się z więźniem stało.

— Zamknięty w celi, — odrzekł.

— Kiedy został schwytany?

— Wczoraj!

— Bronił się długo?

— Wcale nie. Jeden z oficerów zobaczył Teresę, i ścigał ją. Widząc, że znikła w wąwozie, doniósł nam o tem i wysłano zaraz kilkudziesięciu żołnierzy. Nad ranem znaleziono ich. Carmelo zupełnie był spokojny.

— Czekałem na was, — rzekł.

Obok niego leżała Teresa z sztyletem w sercu. Zabił ją naturalnie, chociaż się tego wypiera — każde jego słowo jest kłamstwem!

— Zkąd to pochodzi, że on sam tylko był? Ja myślałem, że on ma całą bandę zbójców?

— Tak, ale kilku schwycilismy przed tygodniem, a gdzie reszta — Bóg wie. Zdaje mi się, że Carmelo posłał ich do Grecyi albo do Turcyi. W każdym razie są oni teraz bez dowódzcy, i nie są wcale niebezpieczni!

— A co się stanie z Nerim?

— Poślą go na całe życie na galery.

Podziękowałem mu i poszedłem dalej.

Byłem teraz zupełnie uspokojony co do skarbów Carmela, które teraz już wyłączną moją były własnością. On nigdy już po nie nie wróci! I może gdyby wiedział, na jaki cel zamierzam użyć jego skarbów — może byłby mi wdzięcznym za to!

Wszystkie przeszkody usuwały mi się same z drogi leżącej teraz jasno i wyraźnie przedemną! Każdy najdrobniejszy wypadek zbliżał mnie do celu!

ROZDZIAŁ XI.

W końcu września wróciłem do Neapolu. Chłodniejsze powietrze wpłynęło korzystnie na zmniejszenie się cholery, epidemia ustawała z każdym dniem, a mieszkańcy miasta odzyskali znowu odwagę i nadzieję. Miasto zaludniało się, ci, co wyjechali, zaczęli wracać, i dawne życie zapanowało w całej pełni.

Przybywszy do Neapolu, wynająłem w pierwszorzędnym hotelu cały szereg pokoi i urządziłem wszystko z najwyszukańszym zbytkiem. Kupiłem przepyszne konie i powozy, trzymałem kilku lokaji, a kupcy ubiegali się o moje względy.

Pierwszego wieczora, gdy jako hrabia Ogilva wystąpiłem w Neapolu, poszedłem po obiedzie do kawiarni, w której często bywałem jako hrabia Romani. Spodziewałem się spotkania tam z Gwidonem.

I rzeczywiście! W przepełnionym wytwornymi gośćmi salonie, siedział ów nędznik, rozłożony w wygodnym fotelu, paląc cygaro i czytając gazetę. Dziś był ubrany zupełnie czarno, w czem bardzo mu było do twarzy, a na małym palcu lewej ręki błyszczał wspaniały brylant — moja własność!

— Nina dała mu to na pamiątkę po mnie, — pomyślałem z gniewem, i usiadłem przy sąsiednim stole. Zamówiłem sobie kawę, zapaliłem cygaro, i rozłożyłem się tak samo we fotelu, jak Gwidon.

Mój przyjaciel spojrzał na mnie uważnie.

Ja udawałem, że nie patrzę wcale na niego. Dałem kelnerowi niezwykłe „na piwo", tak, że chłopak nie wiedział, jak mi dziękować, i rzekłem dosyć głośno:

— Powiedz mi, mój kochany, znasz ty dobrze okolice Neapolu?

— Doskonale!

— Możesz mi więc wskazać drogę do willi Romani?

Uważałem, że Gwidon drgnął.

— Owszem, — odrzekł chłopiec, — ale hrabia Romani umarł!

— Nie może być! — zawołałem. — Taki młody!

— Tak, ale cholera nie pyta o to!

— A więc, przybywam za późno, — rzekłem z pozornym smutkiem. — Byłem przyjacielem jego ojca — znałem hrabiego Fabia jako dziecko, podróżowałem dużo po świecie

i byłbym go teraz chętnie zobaczył! Ma on jakich krewnych — żonę....

— O tak, miał żonę! Hrabina Romani mieszka w willi, ale o ile wiem, nie przyjmuje gości. Jest ona bardzo jeszcze młoda i piękna, jak anioł. Dziecko też jest...

W tejże chwili zwrócił się Gwidon do mnie i rzekł z wyszukaną grzecznością:

— Wybacz pan, że przerywam, ale ja znałem hrabiego Romani lepiej, niż ktokolwiek bądź w Neapolu. Z całą przyjemnością służę panu informacyami...

Czułem, jak mi serce gwałtownie uderzać zaczęło, ale zapanowałem nad mojem wzruszeniem i rzekłem chłodno:

— Dziękuję panu! Byłbym ci rzeczywiście wdzięcznym, gdybyś mnie zapoznał z żoną zmarłego. Stary hrabia Romani był mi bliższym, niż brat. — Pozwól pan, że ci się przedstawię, hrabia Cezary Ogilva!

— Ah, wielki to dla mnie zaszczyt! O przybyciu pana doniosły już gazety. Żal mi bardzo, że pierwsza wiadomość zaraz sprawia panu taką przykrość — ale miejmy nadzieję, że to jedyną będzie chmurą, która panu nasze słońce zakryła!

Mówiąc to podał mi rękę.

Przez chwilę zawahałem się. Czy mogłem wziąść i uścisnąć rękę takiego jak on nędznika?

Ale jeżeli chciałem przeprowadzić moją wolę — musiałem to uczynić, inaczej byłbym go zraził moją niegrzecznością. Uśmiechnąłem się więc przymusowo i podałem mu dłoń! Byłbym mógł krzyczeć, taki ból sprawiło mi to dotknięcie.

Ale i to minęło. Gwidon nie domyślił się naturalnie niczego i w świetnym był humorze.

— Jeszcze kawy i kilka koniaków, — zawołał na kelnera.

Potem zwrócił się do mnie.

Przyjmiesz pan koniak odemnie? — rzekł uprzejmie. — Nazywam się Gwidon Ferrari — jestem malarzem, ale niestety — biednym. Zawrzyjmy znajomość przy butelce wina.

Ukłoniłem się, milcząc. Kelner poszedł po wino, Ferrari zaś usiadł przy moim stole.

— Widzę, że palisz, hrabio, — rzekł, — czy wolno ofiarować panu papierosa?

I podał mi moją własną srebrną papierośnicę, ozdobioną herbem Romanich.

— Bardzo piękna papierośnica, — rzekłem, oglądając ją uważnie. — Zapewne podarunek!

— Była ona własnością mego zmarłego przyjaciela, Fabia Romani. Mnich, na którego rękach skończył, znalazł ją w jego kieszeni i oddał wraz z innemi kosztownościami żonie.

— A ona podarowała ją panu na pamiątkę.

— Tak jest!

— Czy hrabina jeszcze młoda?

— Młoda i piękna jak róża, — odparł z zapałem. Jest to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. Gdybyś był młodym, hrabio, nie wychwalałbym jej tak w twej obecności, ale twe białe włosy budzą we mnie zaufanie. Fabio, bardzo zresztą poczciwy chłopiec, nie był godnym tej kobiety!

— Czemu? — zapytałem drżącym z oburzenia głosem. — O ile wiem, był to człowiek zacny i szlachetny. Może trochę zanadto dobroduszny, ale wspierał ubogich, używał rozsądnie swego majątku...

— Tak, tak, — zawołał Gwidon niecierpliwie, — Fabio był filozofem — uczonym, dobrym, bez żadnego złego przymiotu, a jednak był — nierozsądnym w całem znaczeniu tego słowa!

— Widzę, — rzekłem śmiejąc się, — że pan nie lubisz ludzi wzorowych. Ale otóż i koniaki. Pozwalam sobie wypić na zdrowie pana. Na naszą przyjaźń!

Gwidon ukłonił się i wypiliśmy nasze koniaki.

— Czy Romani umarł nagle? — zapytałem po chwili.

— Zdaje się. Rano wyszedł na przechadzkę i spotkał chłopca, handlującego owocem, który miał cholerę. Jego dobroć serca skłoniła go do zajęcia się chorym i do spieszenia do Neapolu po doktora. Zamiast doktora spotkał mnicha, którego prosił o pomoc dla chłopca. Na drodze jednak zachorował sam. mnich zaprowadził go do jakiejś gospody i tam umarł. Prosił podobno na wszystko w świecie, aby go ani żywego ani umarłego nie przenoszono do willi. Bardzo to ładnie z jego strony, nie chciał ani żony ani dziecka narażać na zarazę.

— Czy dziecko jego jest chłopcem? — zapytałem.

— Nie dziewczynką. Przemądrzałe, nieznośne stworzenie, zupełnie do ojca podobne.

Biedna moja, śliczna Stella! Byłbym nędznika najchętniej za te słowa w twarz uderzył, ale wstrzymałem się. Widziałem, że Nina nic sobie z dziecka nie robi, i że nieszczęśliwe to stworzenie będzie im w krótce zawadzać — udawałem jednak, że mnie to wcale nie interesuje, i pytałem dalej obojętnie:

— Pogrzeb hrabiego bardzo pewnie był wspaniały, nieprawdaż?

— Nie — to jest — nie — mnich postarał się o wszystko sam i udzielił mu ostatnich Sakramentów świętych. Ja byłem przytem....

Mimowolnie oburzyłem się na takie kłamstwo.

— Pan tam byłeś! zawołałem — pan — pan tam byłeś?....

Naturalnie! Czy to pana dziwi? Przecież Fabio był moim najlepszym przyjacielem — miałem więc obowiązek towarzyszenia mu do grobu.

— Tak, tak! Jestem trochę nerwowy — wybacz pan! Myślałem, że obawa zarazy wstrzymała pana od tego.

— Ja się niczego nie boję! Ani cholery! Mnich umarł wprawdzie nazajutrz, mnie jednak nic to nie szkodziło.

— Okropność! I pan rzeczywiście nie miałeś strachu?

— Ani odrobiny! Ja też na chorobę żadną nie umrę! Przepowiedziano mi to!

— Ah! to zajmujące! I jak brzmi przepowiednia?

— Teraz właściwie nie ma ona żadnego znaczenia. Mówiono mi, że zginę z ręki najlepszego mego przyjaciela. Ale Fabio nie żyje!

Uśmiechnąłem się i milczałem. —

ROZDZIAŁ XII.

— Kochałeś pan bardzo swego przyjaciela, pomimo że był dziwakiem? zapytałem po chwili.

— Kochać? Nie! Lubiłem go — on kupował moje obrazy, a biedny artysta ma zawsze pewne przywiązanie do tego, kto obrazy jego kupuje. Lubiłem go więc, aż do dnia jego ślubu!

— Aha, kobieta rozłączyła was!

— Tak! Mężczyzna każdy zmienia się po ślubie. Ale nie przeszlibyśmy się trochę? Tutaj tak duszno!

Widocznie chciał zmienić temat rozmowy.

Wstałem natychmiast.

— Może odprowadzisz mnie pan do mego hotelu, rzekłem. Muszę wcześnie chodzić na spoczynek dla oczu, które nie znoszą światła. Po drodze możemy rozmawiać dalej. Pozwoliłbyś mi pan obejrzeć kiedy twoje obrazy? Byłbym szczęśliwym, gdybym mógł nabyć kilka!

— Serdecznie panu dziękuję, zawołał, i cieszyłbym się, gdyby się panu dzieła moje podobały. Ale o sprzedaż ich nie chodzi mi teraz już wcale — za pół roku najdalej porzucam malarstwo....

— O, to pan odziedziczyłeś majątek? przerwałem.

— Nie zupełnie, ale żenię się z bardzo bogatą kobietą!

— Winszuję panu!

Przymusiłem się do uśmiechu, chociaż serce pękało mi z rozpaczy. Więc ożeni się z moją żoną, z Niną! Sześć miesięcy — najkrótszy czas żałoby! Ani chwili dłużej, niż zwyczaj tego wymaga!

Ale z drugiej strony — sześć miesięcy, to długi przeciąg czasu! Ile wypadków zajść może!

* * *

Idąc teraz wolno ożywioną ulicą, rozmawialiśmy o rzeczach zupełnie obojętnych.

— Podróżowałeś wiele, hrabio? — zapytał w końcu Gwidon.

— O tak!

— Gdzie też znalazłeś najpiękniejsze kobiety?

— Byłem zawsze zajęty tak poważnemi sprawami, że nie miałem czasu do myślenia o kobietach. Zbierałem skarby, bo pieniądz daje nam wszystko, nawet miłość! Zresztą, muszę szczerze wyznać — płeć piękna była mi zawsze bardzo obojętną, a że dziś jestem stary, przeto przekonania mego pewnie już nie zmienię. Nie lubię kobiet!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sejmik

Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbędzie się dnia 23, 24 i 25 września 1902 roku w Poznaniu.

Szanownych Delegatów, Członków i Przyjaciół Spółek uprzejmie zaprasza

Poznań, dnia 15 lipca 1902.

Ks. Wawrzyniak, Patron Spółek.

Porządek obrad:

I. Dnia 23 września w wtorek o godzinie 8 wieczorem w Banku Związku Spółek Zarobkowych:
1. Zagajenie Sejmiku przez Patrona.
2. Sprawdzenie pełnomocnictw delegatów.
3. Wybór marszałka, zastępcy i dwóch sekretarzy.
4. Ustanowienie porządku obrad.
5. Wyznaczenie komisyi do nr. 13.

II. Dnia 24 września w środę o godzinie 8 rano Msza św. na intencyą Sejmiku u fary — poczem o godzinie 10 na sali w Bazarze:
6. Sprawozdanie Patrona.
7. Sprawa „Poradnika“ jako organu Spółek.
8. Inwentura noworoczna a Rada Nadzorcza.
9. Jaki bilans Spółki ogłaszać powinny.
10. Emerytura członków Zarządu i urzędników Spółek.
11. O książkowości w Spółkach.
12. Drobne oszczędności.

III. Dnia 25 września w czwartek o godzinie 9 na sali w Bazarze:
13. Przedłożenie rachunków kasy Związku, udzielenie pokwitowania, załatwienie wniosków o zwolnienie od składek i unormowanie składek do kasy Związku za rok ubiegły.
14. Bank związku a czeki.
15. O Spółkach niepożyczkowych.
16. Protokół rewizyjny na Walnych Zebraniach Spółek.
17. Krewni w Zarządach i Radach Nadzorczych.
18. Referaty rewizorów i delegatów.

Wiadomości.

— **Jak już** Szan. Czytelnikom wiadomo, jeden z najpiękniejszych majątków Prus Zachodnich „Wielkie Jaułty“ ca 4000 mórg obszaru nabył za pośrednictwem firmy „Drwęski i Langner“ p. Ślaski z Orłowa. Krótko przedtem i to również za pośrednictwem firmy „Drwęski i Langner“ nabył ten śliczny majątek p. Stern z Niesłabina i to z rąk Landbanku. Na wieść, że p. Stern odstąpił Wielkie Jaułty p. Ślaskiemu cała prasa niemiecka bez wyjątku podniosła okrzyk grozy, a Lanbank pieniąc się ze złości miotał na p. Sterna i p. Biedermanna, kierownika firmy „Drwęski i Langner“ wszelkie możliwe i niemożliwe zarzuty a mianowicie, że pośrednicząca firma stawiała wyżej interes kupiecki od narodowego, że ofiarowała prócz niemieckich też i polskie majątki.

Oczywiście, zarzuty te podniesione przez Landbank podyktowane były jedynie nienawiścią dla pomszczenia utraty Wielkich Jaułt. To też Landbank wnet dostał następującą odprawę:

„Ponieważ Landbank dla pomszczenia utraty Wielkich Jaułt teraz ogłasza, — że prócz niemieckich majątków polecaliśmy też i polskie a tem samem stawiali interes kupiecki wyżej od interesu narodowego, wobec tego jesteśmy zmuszeni tu wyraźnie zaznaczyć, że prócz jedynej jednej parceli pod budowlę, *Landbank za naszem pośrednictwem, niezdołał nabyć ani jednej piędzi ziemi polskiej.*

Stojąc więc w stosunkach z Lanbankiem od lat kilku,— *sprawie polskiej nie sprzeniewierzyliśmy się w niczem!*

Z wysokim szacunkiem

Drwęski & Langner.“

Jak Landbankowi zależało na utraconym majątku dowodzi już sam fakt, że ofiarowano panu Ślaskiemu z Orłowa krótko po ubiciu interesu 80,000 mk. odstępnego i powrócenie wszystkich kosztów.

Pan Ślaski odrzucił ofertę Banku a „Dziennik Poznański“ podnosząc ten dodatni fakt dodaje od siebie, że p. Kazimierz Ślaski wobec całego społeczeństwa zaskarbił sobie wielką zasługę, za którą mu się należy uznanie i cześć.

Hakata w rozpaczy i jeszcze wykrzykuje, ale wolno psu na Bożą mękę szczekać....

— **Od W. Pani Stef. Królikowskiej** z Petersburga odebraliśmy na dowolne wsparcie dla osób na to zasługujących:

Pierwsza rata 15,05 mk., druga rata 36,70 mk., czyli razem mk. 51,75.

Z tej sumy udzieliliśmy uczniowi szkólnemu Franc. Nowakowi z Poznania wsparcia mk. 15,05. — Pozostaje zatem jeszcze u nas 36,70 mk., z których użycia zamieścimy sprawozdanie w jednym z następnych numerów.

— **Panna Halina Drygas**, Poznanianka, córka szanowanego naszego współobywatela, p. profesora Drygasa, dała w Dyseldorfie koncert, który przyjęto z wielkim entuzyazmem. Licznie zgromadzona publiczność przeciągłym grzmotem oklasków składała hołd zasłużony artystce wielkopolskiej. Fortepian pochodził z fabryki Manda w Koblencyi.

— **Na dniu 7 i 8 września** r. b. obchodzi Towarzystwo techniczne w Krakowie 25 letni jubileusz istnienia swego. Na obchód ten wybiera się znaczna ilość techników z Wielkopolski. Wyjazd ma nastąpić w sobotę d. 6 września; program obchodu ogłoszony zostanie później. Bliższych wia-

domości udzieli na życzenie budowniczy p. L. Frankiewicz w Poznaniu.

— **Na czytelnie ludowe** otrzymaliśmy 3 marki zebrane w dniu zaręczyn u państwa Reimanów w Poznaniu.

— **„Szpital dziecęcy pod wezwaniem św. Józefa w Poznaniu. 1877—1902.“** W roku bieżącym upływa 25 lat od założenia poznańskiego szpitalika dziecęcego św. Józefa w domu Miłosierdzia przy ulicy Piotra Nr. 7. Zarząd szpitalika, chociaż corocznie daje szczegółowe sprawozdania kasowe i lekarskie, uznał za potrzebne i pożyteczne, zapoznać w roku jubileuszowym jak najszersze koła publiczności z historyą zakładu, jego obecnym stanem i działalnością i ze swojemi projektami na przyszłość.

W tym celu Zarząd szpitalika ogłosił drukiem pod powyżej podanym tytułem sprawozdanie, z którego następujące wyjmujemy szczegóły:

„Obecny stan szpitala ma niedomagania dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, szpital jest rozmiarami swemi za mały w stosunku do wielkiej liczby zgłaszających się chorych, a powtóre z powodu rozmieszczenia swych pokoi powoduje trudności w urządzeniu osobnych oddziałów. Żeby sobie uprzytomnić, jak wielkim potrzebom szpital dziecęcy służy, i jak niezbędnem stał się ogniwem w tutejszym łańcuchu urządzeń szpitalnych, wystarczy przytoczyć ogólną liczbę dzieci, którym w czasie ubiegłego 25 lecia udzielono pomocy. W szpitalu leczono w tym czasie 10,290 dzieci przez 335,568 dni. W lecznicy udzielono bezpłatnej porady i lekarstw 100,602 dzieciom, a kąpieli leczniczych wydano 235,711.

„Istniejące niedomagania tłomaczą się dostatecznie rozwojem szpitala a mianowicie tem, że dom nie był budowany w celach szpitalnych i dlatego przy rozbudowaniu w 1883 roku musiano się zadowolić powiększeniem ilości pokoi, nie mogąc zmienić ich rozkładu. Szczupłość pomieszczenia daje się bardzo odczuwać przy przyjmowaniu chorych dzieci przychodnich. Za poczekalnią służy sień frontowa na pierwszem piętrze, a pokój konsultacyjny sąsiaduje bezpośrednio z pokojem operacyjnym. Należałoby urządzić osobną, obszerną poczekalnię, która razem z pokojem konsultacyjnym powinna tworzyć oddzielną całość. Rozkład pokoi szpitalnych, bezpośrednio z sobą się wiążących jest nieprzebytą przeszkodą dla urządzenia osobnych oddziałów dla chorych zaraźliwych, które wymagają zupełnego oddzielenia. Z tego powodu istnieje obecnie tylko sześć łóżek na ogólną liczbę pięćdziesięciu, dla dzieci dotkniętych chorobami zaraźliwemi. A właśnie choroby zaraźliwe, dla uniknięcia szerzenia się zarazy w rodzinach warstw biedniejszych, mieszkających ciasno i niezdrowo, domagają się najwięcej leczenia szpitalnego. Brak miejsc jest dalej powodem, że dzieci ciężko chorych, które zachowaniem się swojem w stanie gorączkowym drugie niepokoją i straszą i w spoczynku przeszkadzają, nie można osobno umieszczać.

„Wszystkie te niedostatki, dla których obecnie dzieciom ciężko chorym często odmówić trzeba przyjęcia, można usunąć tylko przez pobudowanie nowego domu szpitalnego z całem nowoczesnem urządzeniem wymaganem przez naukę, bo w istniejącym budynku wszystkie dane już do możliwej granicy wyzyskano.

„Projektu pobudowania nowego budynku szpitalnego nie można wykonać na obecnym terenie. Trzeba koniecznie przez dokupienie obecny teren powiększyć. Nadawałby się do tego znakomicie ogród, rozległości jednej morgi, przylegający bezpośrednio do tylnej granicy gruntu szpitalnego. Pozostawiając szpitalik w obecnym miejscu przy ulicy Piotra nabycie tego ogrodu byłoby koniecznem. Zarząd ma też zamiar zyskawszy fundusze wejść z właścicielem tego ogrodu w układy o kupno. Gdyby się jednak miało wykazać, że ogrodu tego za cenę jego rzeczywistej wartości nabyć nie można, wtedy zarząd jest zdecydowany, nabyć większy teren w dogodnem miejscu na jednem z dawniejszych przedmieść, i tam nowy szpital pobudować. Wobec dogodnej i łatwej komunikacyi projekt ostatni ma tę zaletę, że szpital urządziłby można systemem pawilonowym pośród zieleni i drzew. Rozstrzygnięcie tej kwestyi należy jednak do przyszłości. Tymczasem staraniem zarządu będzie zbieranie funduszów na budowlę. Każdy najmniejszy datek przyjmować będzie Przełożona zakładu Siostra Irena Łuszczewska z serdecznem podziękowaniem i szczerą wdzięcznością.“

— **Nowy browar** w Grodzisku zaopatrzył się obecnie w większe zapasy piwa grodziskiego. Zamówienia przyjmuje p. K. Styczyński w Grodzisku, a udziały nabywać można w Banku parcelacyjnym w Poznaniu.

— **Bank parcelacyjny** w Poznaniu ma na sprzedaż po znacznie zniżonych cenach dworostwa, folwarki, gospodarstwa, domy i place budowlane. Bliższe szczegóły podane są w odnośnem ogłoszeniu.

— **Rodak** nasz, lekarz praktyczny z Kruszwicy p. Michał Laskowski, syn pp. radzcostwa dr. Laskowskich z Wągrówca uzyskał w tych dniach na wydziale medycznym król. uniwersytetu w Lipsku stopień doktora medycyny, chirurgii i akuszeryi, po złożeniu odpowiedniego egzaminu i napisaniu pracy: „Zur Cauistik des Myoms während der Schwangerschaft.“

Wiadomości literackie i artyst.

— **Broszura** jako hołd z Wielkopolskiej ziemi dla *Maryi Konopnickiej*, napisana przez panią Janinę Omańkowską, opuściła świeżo prasę nakładem księgarni Chrzanowskiego i Kucnera w Poznaniu. Druk broszury wykonano elegancko i gustownie na pięknym papierze w drukarni „Pracy“ (M. Biedermann) w Poznaniu. Cena broszury wynosi tylko 30 fen.

— **W odpowiedzi** na wezwanie ojca św. wystósowane w encyklice „Rerum novarum“ do wszystkich katolickich społeczeństw w sprawie zajęcia się rozwiązaniem kwestyi socyalnej i w zastósowaniu się do życzenia tylokrotnie wyrażonego ze strony wszystkich mężów pojmujących doniosłość tejże kwestyi i dla nas poczęte wychodzić w Poznaniu od 1-go października pismo treści socyalnej p. t. **„Ruch chrześcijańsko-społeczny“**.

Dwutygodnik ten przeznaczony jest dla sfer wykształconych ze specyalnem uwzględnieniem tych wszystkich, którzy biorą lub pragną brać udział w podniesieniu duchowem i polepszeniu dobrobytu warstw pracujących oraz w działalności lub kierownictwie stowarzyszeń i instytucyi w łonie ich powstałych lub powstać mających, czynnych w tym kierunku.

Pierwszy (okazowy) numer „Ruchu chrześcijańsko-społecznego“, mającego wychodzić pod redakcyą X. Kazimierza Zimmermanna, ukaże się w dniach najbliższych. Prenumerata kwartalna, jaką wyłącznie przyjmować będzie Księgarnia i Drukarnia św. Wojciecha w Poznaniu, wynosi 1,50 mk., cena nader nizka ze względu na obszerność pisma (24 strony 8°). Dla Galicyi wynosi abonament 2 korony.

Od Redakcyi.

Panu J. K. w Gnieźnie. — Nie był to bynajmniej zarzut, tylko zapytanie spowodowane Pana dopiskiem pod wierszem, w którym to dopisku o autorze nie było najmniejszej wzmianki. Zazwyczaj autorzy piszą: „Przysyłam *mój* wiersz, *mą własną* pracę i t. p.“ dla dokładnej informacyi redakcyi. Już często mieliśmy nieporozumienia ztąd, że się strojono w cudze piórka, więc musimy być w takich sprawach ostrożni. Wiersz zamieszczamy i dziękujemy jednocześnie za łaskawą pamięć najserdeczniej, prosząc o dalszą.

Sokołowi w Gostyniu. — Notatka o zabawie doszła nas zapóźno już po wydrukowaniu numeru na dzień 17-go b. m., dlatego nie mogliśmy jej zamieścić w odnośnym numerze.

Pani M. W. w K. — Aby odpowiedzieć na zapytanie, trzebaby poświęcić parę miesięcy czasu na gromadzenie materyałów, potem wypełnić odpowiedzią co najmniej dwa numery „Pracy.“ To chyba przekracza granice naszej możności.

Panu M. S. w R. — W nowo założonej księgarni pod firmą „Chrzanowski i Kucner“ w Poznaniu, św. Marcin 70, nabyć Pan możesz dziełka wzmiankowane w liście.

Pani T. K. w G. powiat Kurluzki. Prusy Zachodnie — Historyjka nam nadesłana jest powszechnie znana i była już drukowana w kalendarzach, dlatego jej w „Pracy“ nie zamieścimy. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Idealiście. — Sprawa już ubita,
Więc basta i kwita!

Panu Józefowi Amb. w Reisholz — Dysseldorf. — Autor t. j. ta osoba, która książkę napisała, może własnym kosztem czyli nakładem wydać swe dzieło i wtedy jest ono własnością autora, lub też autor może sprzedać swą pracę jakiemu wydawcy czy też księgarzowi, w takim razie według umowy otrzymuje honoraryum, a dzieło staje się własnością wydawcy. Co do warunków, to te zależą od treści, wartości itd. itd. napisanego dzieła. W każdym razie kto chce książki drukować, musi mieć dużo pieniędzy, bo „na druk potrzeba pieniędzy huk.“

Panu St. B. w Drawsku. — List nas nie doszedł.

Panu Marcinowi B. w S. — Słabe, nawet bardzo...

Pani Julii K. na prowincyi. — Są błyski uzdolnienia, ale próbki za słabe, aby były godne druku. Trzeba nad formą pracować staranniej.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für den Monat September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ______________________

(Mieszkanie): ______________________

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

______________, den ______________

Kaiserl. Post______________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für den Monat September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ______________________

(Mieszkanie): ______________________

Obige 0,42 M. erhalten zu haben bescheinigt

______________ den______________

Kaiserl. Post______________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das laufende Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ______________________

(Mieszkanie): ______________________

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

______________,den______________

Kaiserl. Post______________

Prosimy odciąć!

Kto ma szczery zamiar

kamienicę

korzystnie kupić lub sprzedać, ten niech się z całem zaufaniem zgłosi do

Drwęskiego & Langnera,

Domu Bankowo-Komisowego

Ul. Rycerska 38. **w Poznaniu** *Telefon 1246.*

Specyalny wydział

dla kupna i sprzedaży kamienic, wil, placów budowlanych i t. d. lecz tylko dla Poznania i przedmieść. Pośrednictwo sumienne i dyskretne.

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu choroby właściciela jest korzystnie do nabycia w jednem z większych fabrycznem mieście (ca. 5000 mieszkańców) tu w Księstwie posiadłość w bardzo korzystnem położeniu, składająca się z pięknej, nowej, dwupiętrowej kamienicy, obszernego podwórza z zajazdem, stajniami etc., ślicznego, dużego ogrodu dla publiczności. W kamienicy jest pierwszorzędny hotel, restauracya, winiarnia, handel korzenny destylacya — przytem jeszcze skład węgli, wapna, artykułów budowlanych i t. d.

Cena za posiadłość 85,000 mk., towary obliczą się podług faktury, **do objęcia potrzeba 60 tys. marek.**

Oferty pod lit. G. 200 do eksped. „Pracy," Poznań, ul. Rycerska 38.

Folwarczek w okolicy Gniezna tylko 1 klm. od stacyi kolejowej, ca. 136 mórg incl. 15 mórg dobrej łąki z pokładem torfu, troszeczkę ładnego lasu, ziemia dobra jęczmienna w kulturze, bardzo dobrze obsiana, budynki wystarczające i w porządku, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 12,000 m.* za 31,500 mk.

Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. **2354**.

Folwark 720 mórg w okolicy Żnina. od miasta tylko ½ mili, zdrowa żytnia ziemia i bardzo urodzajna, 20 mórg pięknych łąk, 270 mórg jeziora bardzo rybnego, budynki nowe, dom mieszkalny **murowany** o 6 pokojach, kuchni etc., inwentarz kompletny **przy** zaliczce 45,000 mk. pod bardzo korzystnemi warunkami.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" Nr. 2238.

Folwark 200 mórg tuż pod Poznaniem, ziemia dobra, zdrowa żytnia, w wysokiej kulturze; budynki murowane, w dobrym stanie, dom mieszkalny obszerny i wygodny, inwentarz 8 koni i 30 krów, mleko odstawia się do sklepów do Poznania, *przy zaliczce 25,000 mk.* za 76,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" *Nr. 2252.*

Folwark 370 mg. incl. 16 mg. dobrych łąk i 30 mórg pięknego lasu, *pod Grodziskiem,* od szosy tylko 1 klm. *ziemia jęczmienna w kulturze,* budynki kompletne i w porządku, *dwór na suterenach murowany obszerny i wygodny w pięknym ogrodzie;* inwentarz kompletny, *przy zaliczce 20 tys. mk. za 83 tys. mk.*

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2160.

Folwark

800 mg., incl. 60 mg. pysznych łąk, w okolicy Wrześni, stacya kolei i szosa w miejscu; ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczanna w bajecznej kulturze. Wysiew 280 mg. oziminy, 100 mg. jęczmienia, *40 mg. buraków cukrowych,* 20 mórg lucerny, 200 mórg kartofli i t. d., budynki przeważnie murowane, obszerne i w porządku, *wygodny dom mieszkalny o 9-ciu pokojach, kuchni etc. w ślicznym ogrodzie,* inwentarz 8 koni robocz. 31 wołów rob. ca. 80 szt. bydła incl. krów dojnych, 300 owiec, parowa młockarnia itd., *wszystko w najlepszym porządku.* Taksa landszaftowa z roku 1888 176,400, *przy zaliczce 60 tys. mk.* za 330 mk. morga. *Majątek ten jest od 50 lat w obecnych rękach niemieckich i jedynie dla śmierci właściciela na sprzedaż.*

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wieś
rycerska

840 mórg, incl. 60 mg. dobrych łąk i 15 mórg pięknego lasku, *w okolicy Rogoźna, od przystanku kolei tylko 2 klm., ziemia dobra jęczmienna bardzo dobrze obsiana w wysokiej kulturze,* — budynki nadkompletne, murowane pod twardemi dachami w porządku; *wygodny i obszerny dwór pański na suterenach w wielkim, cienistym parku.* Całość robi wrażenie pańskiej siedziby. Inwentarz kompletny i bardzo dobry; urodzaje znakomite; gospodarstwo dość zasobne, *przy zaliczce 60,000 mrk., za 200 marek morgę.*

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Folwark ca. 160 mg. w okolicy Kostrzyna ziemia przeważnie pszenna w dobrej kulturze, dom mieszkalny o 8 izbach, kuchni etc., obora murowana, welbowana na żelazie, wielka stodoła o 2 bojowiskach, wszystkie budynki w porządku, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 18,000 m.* za 45,000 mk. Kolejka w miejscu. Oferty do eksp. „Pracy" pod nr. **2344**.

Folwark 220 mg. pod Starogardem, Pr. Zach. ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczana budynki obszerne w dobrym stanie. *Dwór w stylu pałacykowym o 12 pokojach w pięknym cienistym parku,* gospodarstwo zasobne, *przy zaliczce 50,000 marek* za 240,000 marek.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2364.*

Folwark 250 mórg — lecz z własnem polowaniem — pod Krotoszynem, z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, garnizonem i t. d., *ziemia pszenna w bajecznej kulturze,* 15 mg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, cegielnia produkująca rocznie przeszło pół miliona; dworek zupełnie nowy, pański, bardzo ładny i obszerny, w pięknym ogrodzie, *przy zaliczce 75,000 m.* za 150,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. **2260**.

Folwark 500 mórg pod Koźminem, wszystko pszenna ziemia I kl., ładny i wygodny dworek, budynki obszerne i w porządku, inwentarz kompletny i mocny, *Grundsteuerreinertrag ca. 3 mk. z morgi,* przy zaliczce 60,000 mk. po 350 mk. za morgę.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. *2282.*

Folwark 460 mg. w okolicy Krotoszyna, ziemia pszenna I kl. wydrenowana i wymarglowana w wysokiej kulturze, budynki obszerne i w porządku, dom mieszkalny wygodny w ładnym ogrodzie, 12 koni, 50 sztuk bydła rasowego, 60 świń. Żniwa zapowiadają się świetnie. Przy zaliczce 40,000 mk. za 130,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2244.

Folwark 200 mórg pod Trzemesznem, ziemia do połowy pszenna i buraczanna, reszta dobra, zdrowa, jęczmienna, 10 mórg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, dom mieszkalny o 8 pokojach, wygodny, w pięknym ogrodzie inwentarz kompletne, *przy zaliczce 25,000 marek za 65,000 mk.*

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. *2285*

Folwarczek 240 mrg. tuż przy R[illegible] z gimnazyum, *dobrej pszennej i buraczannej ziemi i ślicznemi łąkami, obszernemi murowanemi budynkami, wygodnym domem mieszkalnym o 6 pokojach,* inwentarz 6 koni, 30 sztuk bydła, znaczna ilość świń i t. d. *przy zaliczce 15,000 mk* za 70,000 mk. Wysiew 25 mg. pszenicy, 50 mg. żyta, 40 mg. jęczmienia, 50 mg. kartofli i t. d.

Oferty up. do Eksp. „Pracy" Nr, **2300**.

Folwark *330 mórg, pod Gnieznem,* ziemia zdrowa i urodzajna żytnia, 36 mg. łąk z pokładem torfu, budynki w porządku, dom mieszkalny o 6 pokojach, 4 klmtr. od dworca, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 12,000 mk.* za 48,000 Mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy" pod *2324.*

Folwark *670 mg. pod Szubinem, ziemia pszenna I kl., 100 mg. pysznych łąk, 40 mg. nie wyczerpanych pokładów bardzo dobrego torfu. Obszerny dwór pański, w ładnym parku,* budynki bardzo dobre i kompletne, 15 koni i 60 szt. bydła, od miasta tylko 4 klmtr., *przy zaliczce 60,000 mk.* za 200,000 mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy" *No 2322.*

Wila

na przedmieściu Poznania, z pięknym ogródkiem, o 11 pokojach, z wszelkiemi ubikacyami, z powodu wyprowadzenia się właściciela **zaraz** pod dogodnemi warunkami do sprzedania.
Oferty przyjmuje eksped. „Pracy" pod lit. **X. P. 3.**

Złośliwa.

— Wie pani, od czasu powrotu z kuracyi stałam się zupełnie inną.

— Ach, jakże mąż pani musi być z tej zmiany zadowolony.

Może i racya.

A. — Wyobraź pan sobie, dr. Receptowicz opowiadał mi, że w ostatnim tygodniu wyleczył 150 osób.

B. — Mnie opowiadał o 300.

A. — To widocznie pana uważał za podwójnie głupiego.



Nerwowy.

— Cóżeś tak się przestraszył?

— A bo widzisz, jak tylko zobaczę którego ze swych wierzycieli, zaraz przejmuje mnie dreszcz i uciekam, co tchu. Taki jestem nerwowy!

Moc przyzwyczajenia.

W kantorze.

— Panie Smyk, znowu mi w książkach „pokręciłeś“?

— To przyzwyczajenia panie pryncypale, dawniej byłem...stroicielem fortepianów.



Misburg pod Hanowerem. Towarzystwo św. Wojciecha obchodzi w niedzielę dnia 18. Września 8-mą rocznicę poświęcenia chorągwi, na którą mamy zaszczyt zaprosić wszystkie w pobliżu i w miejscu istniejące Tow. Polsko-katolickie oraz wszystkich dobrze nam życzących Polaków i Polki z Misburga i okolicy, odegranem będzie także teatr amatorski p. t. „Sąsiedzi", po teatrze zabawa z tańcami. Szanowne Tow. które nas w tem dniu swoją obecnością zaszczycić raczą prosimy przybyć bez chorągwi. Początek o godz. 6-tej wiecz. **Zarząd.** (615)

Tow. Gimnastyczne „Sokół" **w Śremie** urządza w niedzielę d. 31 bm.

zabawę latową

na nowej strzelnicy. Początek o godz. 3-ciej po południu. Program urozmaicony. Od. godz. 9-tej tańce na sali hotelu Victorya. O liczny udział uprasza (gr) **WYDZIAŁ.**

Posady

dla bon

i

wychowawczyń

z doskonałym niemieckim. Pensya 260—310 marek. Wiadomość:

Karpińska,

Warszawa, Szpitalna 3.

Zdolnego młodszego

pomocnika

poszukuje zaraz lub później

Jan Rux,

Koronowo

handel kolonialny, Destl.

Kamienica

masyw 8 piętrowa w górnej części miasta dobrze się procentująca zaraz do sprzedania.

Bliższych objaśnień udzieli eksp. „Pracy" pod lit. **A. W. 4.**

Kamienica

na Jeżycach, blizko rynku o 3 piętrach, przynosząca 8% z powodu choroby właściciela zaraz do sprzedania.

Pomieszkania tylko lepsze i z wszelkiemi wygodami. Reflektantom udzieli bliższych wiadomości ekspedycya „Pracy" p. l. ***O. R. 5.***

Place budowlane

na przedmieściu Poznania, ca. 20 mórg, z powodu działów familijnych (ca. 700 □ metrów) przy małej zaliczce zaraz do sprzedania.

Bliższych wiadomości udzieli eksped. „Pracy" sub. G. 53.

Ucznia

z dobrego domu przyjmie zaraz 570

W. M. Przezborski

handel żelaza, artykułów budowlanych i towarów kolonialnych

Poniec — (Punitz).

Panienka

skromna, z lepszem wychowaniem, pragnie przyjąć miejsce jako

wyręczycielka

pani domu zaraz albo później. Kto! wskaże eksp. „Pracy" pod Nr. 614. (614)

Skład **obuwia Józefa Lenartowskiego** w Inowrocławiu, Toruńska ul. 5 przyjmie **2 zdatnych**

czeladników

na stałe zajęcie za odpowiedniem wynagrodzeniem. 610

Nowe

uczennice

za poprzedniem zameldowaniem przyjmuje

zakład pracy domowej w Śremie (Schrimm) dnia 24 października b. r.

Szczerbińska przełożona.

Ucznia

syna porządnych rodziców z lepszem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz 592

J. Grochowski,

drogerya w Jarocinie.

Dwóch doskonałych

pomocników

introligatorskich na stałe zatrudnienie i dobrą zapłatę poszukuje

K. Kmiecikowski

Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów.

Poznań, (602) ul. Wodna 2, 1 piętro.

Skład

narożnikowy wraz z pomieszkaniem w Czersku Pr. Zach w którym dotychczas znajduje się zegarmistrz-jubiler, ale niemiec, jest od 1 Października t. r. do wynajęcia. Rodak w tej branży miałby świetne powodzenie. Zgłoszenia przyjmuje (612) **T. Jasnoch.** Czersk W/Pr.

Kto wskaże rodakowi miejscowość, w większem mieście gdzieby mógł z powodzeniem

Interes bławatny

otworzyć albo nabyć? Oferty upraszam do Ekspedycyi „Pracy" pod Nr. **616 K. S.** (616)

Poszukuję zakupna wagonu

ziemniaków

gatunku (płowe-polaki) tylko z pierwszych rąk od rodaka. Łask. oferty proszę na mój adres przysłać z podaniem ceny za centnar.

Jakub Rumiński.

Król Huta. (Königshütte O/S. Heidukerstr. 4. (613)

Kawaler, lat 28, zajmujący wyższe socyalne stanowisko w jednem z najpiękniejszych miast Niemczech, szuka dla braku znajomości pań na tej drodze

towarzyszki życia

Piękne i miłe Panie z wykształceniem i pewnym posagiem, zechcą same, lub przez inne osoby łaskawe oferty z pełnem zaufanie złożyć do Eksp. „Pracy" pod lit. **G. 668.** (605)

— Mamusiu, czy to prawda, że Adam był najprzód sam jeden w raju?

— Prawda.

— To dopiero musiał się bać zbójów.

ROZTROPNA RADA.

— Idąc ulicą, moje dziecko, miej zawsze oczy spuszczone: jest to skromnie, a znaleźć też można czasem portmonetkę.

Podoficer: Dziś rano kichnąłeś przy mustrze; potem kichnął i pan porucznik. Pamiętaj na przyszłość kichać zawsze po panu poruczniku, nigdy przedtem!